ŁOWIEC POLSKI

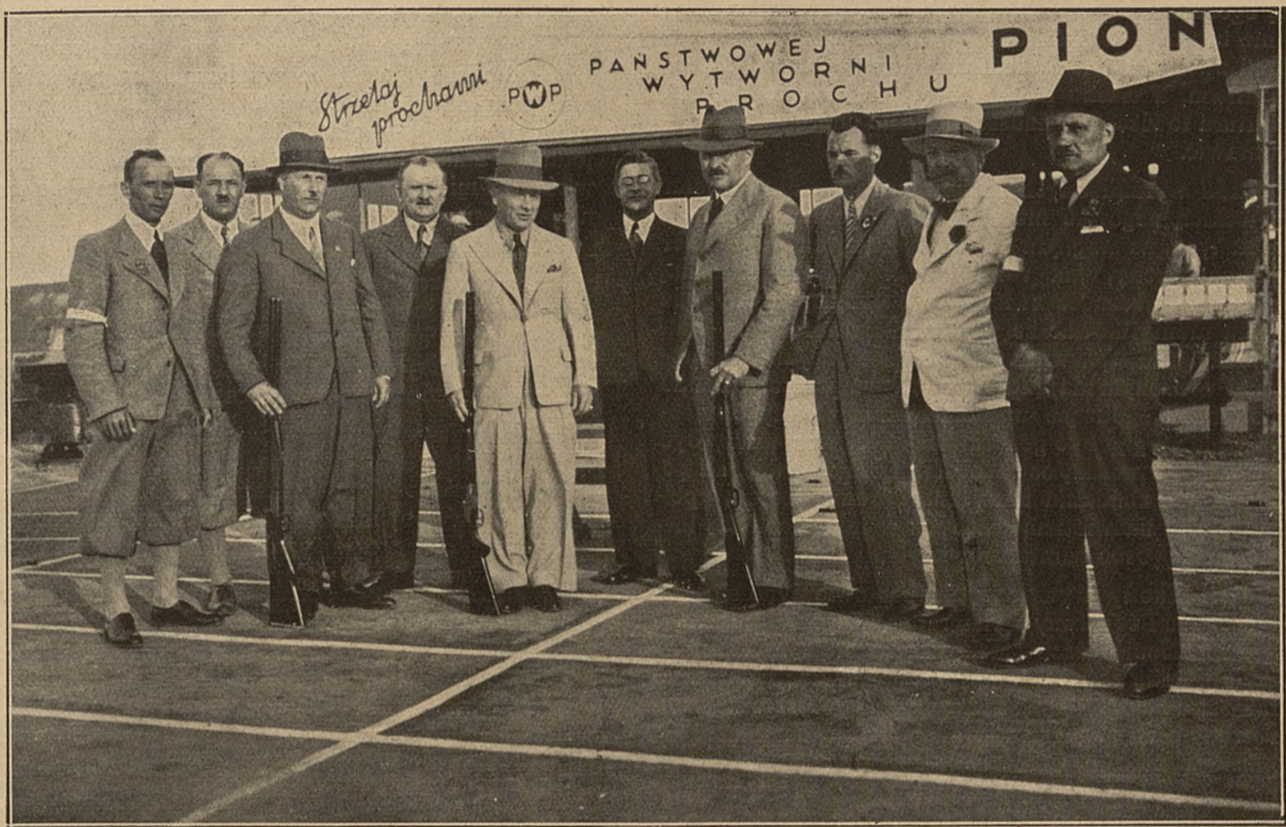


Puszcza Kresowa. Fot. M. Borowski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 18 (902) 20 CZERWCA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Z zawodów Pionek. Zdobywcy pierwszych trzech miejsc w klasie A w otoczeniu członków Komitetu Organ. i Komisji Sędziów.

W SPRAWIE SZKÓD ZRZĄDZONYCH PRZEZ ZWIERZYNĘ I ODSZKODOWAŃ ZA NIE

Alarmy, podnoszone przez niektóre organy naszej prasy codziennej, w sprawie szkód wyrządzanych przez zwierzynę, skargi drobnych rolników i wielkich obszarników, składane do władz w tej samej sprawie, opinje, wypowiadane przez niektórych funcjonarjuszy leśnych — doprowadziły do tego, że miarodajne czynniki nasze, opierając się na tych niezawsze słusznych skargach lub opinjach, decydowały się niejednokrotnie na zniesienie czasów ochronnych dla niektórych gatunków naszej zwierzyny.

Parę lat temu w niektórych okręgach Rzeczypospolitej zniesiono ochronę jelenia. Na skutek tego zarządzenia, w niektórych rewirach, obfitujących w tego przepięknego zwierza, strzelano do każdej sztuki, nawijającej się pod muszkę sztucera, bez względu na to, czy sztuki tej nie należało właśnie zostawić, jako posiadającej piękne zadatki rozwojowe. Nie wyłączano nawet i łań cielnych, budząc w ten sposób ogólny niesmak i wzburzenie nawet wśród sfer, nic wspólnego z łowiectwem nie mających.

Smutny ten wyrok przetrzebienia, wydany na tego przepięknego mieszkańca naszych puszcz i borów, oparty był przedewszystkiem na licznych skargach funkcjonarjuszy leśnych, stwierdzających olbrzymie rzekomo spustoszenia w kulturach leśnych, prowadzonych, jak to w wielu wypadkach stwierdzono, bardzo jednostronnie w kierunku hodowli wyłącznie drzew szpilkowych. Pomijając już sam fakt, że takie jednostronne prowadzenie gospodarki leśnej posiada w sobie groźne zarodki niebezpieczeństwa (jak np. sówka chojnówka na naszych kresach zachodnich), muszę tu stwierdzić, iż meldowane w swoim czasie szkody były mocno wyolbrzymiane i przesadzane, a niejednokrotnie cały szereg innych przyczyn, hamujących rozwój kultur leśnych, kładziono na karb szkodniczej działalności jeleni. W rzeczywistości zaś tam, gdzie myślano cośkolwiek o zwierzynie, gdzie kosztem niewielkich wydatków tworzono naturalne lub sztuczne paśniki, szkody te mogły być wielkiemi tylko dla osób nie mających dostatecznego pojęcia o gospodarce leśnej, dla których byle pozory wystarczyły, by w tej sprawie stawiać wnioski, zmierzające do zniesienia tej kardynalnej zasady łowiectwa całego świata, jaką jest ochrona zwierzyny.

Zwiedzając w swoim czasie na terenie Poznańskiego tereny leśne, rzeczywiście zniszczone przez jelenie, miałem możność przekonać się o absolutnej słuszności powyższej tezy i mając możność w trzy lata później zlustrowania tych samych obszarów, stwierdziłem ponadto, że nawet tam, gdzie o karmie dla jeleni nie myślano, dziś już ślady po szkodach tych zaginęły i tylko dla wytrawnego znawcy gdzieniegdzie są one do rozpoznania. Ten faktyczny stan rzeczy dowodzi niezbicie, że wszelkie alarmy w tej sprawie były mocno przesadzone, gdyż rzeczywiście wyrządzone przez jelenie szkody w kulturach leśnych nie były niczem innem, jak tylko konieczną, ale przedwcześnie dokonaną trzebieżą.

Obecnie powtarza się ta sama historja z dzikami. Na mocy postanowienia wojewodów, będzie je można odstrzeliwać w każdym czasie i wszędzie, to znaczy, że nawet w tych okręgach, gdzie należą one do rzadkości. Wystarczy, by w sprawie rzeczywistych czy rzekomych szkód narobiono wiele wrzawy i hałasu, a pozwolenie na odstrzał dzików zostanie udzielone.

Zorganizowane łowiectwo polskie, którego zadaniem musi być nietylko dbałość o rozwój zwierzostanu, ale również i o podniesienie kultury łowieckiej, nie może się zgodzić z tego rodzaju metodami, gdyż faktyczny, a nie urojony, stan szkód, wyrządzanych przez te gatunki zwierzyny, w niczem zarządzeń tych nie usprawiedliwia, a ciasno nawet pojęty humanitaryzm, jak i kultura łowiecka — muszą się temu energicznie przeciwstawić.

Szkód wyrządzonych przez zwierzynę nikt ze sfer łowieckich negować nie zamierza, ponieważ jednak szkód tych, ze względu na ich sporadyczny charakter z jednej strony, jak i na powszechnie stwierdzoną i znaną użyteczność zwierzyny z drugiej strony, nie można identyfikować ze szkodami żywiołowemi, jak powódź, grad itp., wyrządzającemi olbrzymie spustoszenia w naszym majątku narodowym, przeto wszelkie zarządzenia, godzące w elementarne zasady łowiectwa, nie mogą być generalizowane, lecz winny być wydawane z wielką ostrożnością i nie inaczej, jak po uprzedniem zbadaniu faktycznego stanu rzeczy, pozbawionego naświetleń, leżących w interesach tej lub innej grupy osób zainteresowanych.

Jeżeli szkody wyrządzone przez zwierzynę są wynagradzane i ze strony wynagradzającego żadne wnioski o zniesienie czasów ochronnych nie wpłynęły, to wszelkie takie zarządzenia, jako pozbawione podstaw, winny być bezwzględnie zaniechane. Jeżeli natomiast ze strony osób obowiązanych do wynagradzania szkód wpływają wnioski o zniesienie czasów ochronnych, to wnioski takie winny być szczegółowo badane i tylko tam, gdzie mamy do czynienia z rzeczywistym nadmiarem zwierzyny, mogą być one przychylnie załatwiane, lecz nie inaczej, jak w kierunku odstrzału nadmiernej liczby sztuk danego gatunku zwierzyny.

Z punktu widzenia łowieckiego tylko takie stanowisko jest słuszne, niemniej przytem przyznać trzeba, że dzisiejszy sposób regulowania szkód, wyrządzonych przez zwierzynę, pozostawia bardzo wiele do życzenia, gdyż w wielu przypadkach jest on krzywdzący dla poszkodowanych, częściej jednak krzywdzi właścicieli lub dzierżawców terenów łowieckich, którzy w świetle obowiązujących obecnie przepisów praw swych bronić nie mogą lub nie potrafią.

Stan ten dotyczy zarówno łowisk państwowych, jak i całego szeregu łowisk prywatnych, które nie potrafią się uporać z coraz bardziej rozpowszechniającym się procederem, polegającym na osiąganiu przez poszkodowanych dodatkowych i zupełnie niezasłużonych zysków przy okazji strat rzeczywistych lub rzekomych, zrządzanych przez zwierzynę.

Że proceder taki istnieje i z roku na rok zatacza coraz szersze kręgi, pozwolę sobie przytoczyć parę przykładów, z których wybieram najbardziej charakterystyczne.

W jednem ze znanych łowisk prywatnych, obfitujących w dziki, właściciel terenu opłacał sąsiadowi bardzo wysokie odszkodowanie, chcąc się jednak uwolnić choćby częściowo od tych ciężarów, ustanowił specjalną straż, której zadaniem była ochrona pól sąsiedzkich, na których dziki dokonywały spustoszeń. Zdawałoby się, że właściciel terenu jest w porządku i że robi wszystko, co leżało w jego mocy, by uchronić sąsiadujące z nim pola od dziczej nawały. Tymczasem jednak sąsiedzi jego byli odmiennego zdania, ustanowioną straż pobili i rozpędzili, oświadczając zarazem, iż skoro ktoś dziki hoduje i płaci za nie odszkodowania, to utrzymywanie straży jest najzupełniej zbyteczne i szkodliwe. Powyższy nieodosobniony wypadek jest jaskrawym dowodem, że szkody, spowodowane przez dziki, były w danym razie **ź r ó d ł e m z y s k u d o d a t k o w e g o**, utrata którego dla „miłych" sąsiadów byłaby przykrą niespodzianką.

W innem łowisku — państwowem, dzierżawionem przez znane kółko myśliwskie, posiadającem około 60 stałych dzików, wypłacono w ciągu roku około zł. 6000 odszkodowań, co przeliczone na kartofle, według ceny danej miejscowości, stanowiłoby, po potrąceniu robocizny — około 3600 q kartofli, czyli, że na jednego dzika, włączając i warchlaki, wypadłoby w ciągu 3 miesięcy 60 q, co znaczy, że całe $\frac{2}{3}$ q dziennie.

Jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że żaden dzik nie zdoła spałaszować takiej porcji dziennie, zwłaszcza że w sezonie letnim posiada on doskonałe pożywienie w lesie, to i ten przykład będzie oczywistym dowodem sąsiedzkiego **w y z y s k u**, od którego dzierżawcy terenu obronić się nie potrafią.

Proceder, o którym mowa, odczuć mogłem boleśnie również i na własnej skórze. Dzierżawiąc przed laty teren z przechodniemi dzikami, pociągnięty zostałem zaocznie do opowiedzialności za zniszczenie 45 morgów owsa o rzekomej wydajności 20 q z morgi, na polu, z którego, wobec złej uprawy i fatalnych owego roku warunków klimatycznych, można było oczekiwać conajwyżej 3 q z morgi. Podstawą do wysunięcia roszczeń było przejście maciory z 3-ma warchlakami przez omawiane pole, na którem dla udokumentowania szkody wypasano nocami trzodę chlewną, bydło i konie.

Ile trudu, czasu i zabiegów kosztowało mnie stwierdzenie powyższego stanu przez wiarogodnych świadków i przez szczegółowe ekspertyzy fachowców, wolę o tem nie wspominać, dodam tylko dla ciekawości kolegów myśliwych, że od wspomnianych roszczeń zacnego sąsiada uwolniłem się jedynie groźbą oddania sprawy na drogę karną.

W niektórych okolicach, stale nawiedzanych przez dziki, proceder ten został doprowadzony niemal do perfekcji. Ażeby szkodę spowodować i osiągnąć z niej dodatkową korzyść, sieje się dla pozoru na niedokładnie wykopanych i ledwo zdrapanych kartofliskach minimalne ilości żyta i czeka się, jak zbawienia, dziczej nawały. Skoro upragniony ten fakt nadejdzie, składa się meldunek w gminie i przy pomocy świadków oraz niezbitych dowodów zrycia, otrzymuje się sute wynagrodzenie z pola, na którem wiosną perz i chwasty niepodzielnie królowały. Wiosną zaś na tem samem polu sieje się powtórnie owies i w ten sposób jeden i ten sam łan pola dwukrotnie w ciągu jednego roku zostaje wyzyskany.

Przykładów, jakie tu przytoczyłem, możnaby cytować bez liku, dotyczą one nietylko łowisk prywatnych, ale również i lasów państwowych, Dyrekcje których z plagą omawianego procederu również sobie poradzić nie potrafią.

Każdy medal ma jednak dwie strony. Żeby być więc bezstronnym, należy stwierdzić, że w obecnym stanie rzeczy nietylko właściciele łowisk są przedmiotem wyzysku, niejednokrotnie bowiem mamy do czynieniat i z odwrotną stroną medalu, z wykręcaniem się osób odpowiedzialnych od świadczeń za szkody zrządzone przez zwierzynę.

Ten wysoce dla stron krzywdzący stan rzeczy, godzący w wysokim stopniu w interesy łowiectwa polskiego, winien być uregulowany drogą ustawodawczą w sposób usuwający dotychczasowe praktyki, przez ustalenie racjonalnych zasad szacowania szkód zrządzonych przez zwierzynę.

(Dok. nast.).

ANDRZEJ ŚLIWIŃSKI

TEN DRUGI STRZAŁ O BRZASKU

Panu Włodzimierzowi Korsakowi na „otrąbienie" setnego głuszca poświęcam

Jakby przeistoczeni w słuch, stoimy w zakątku dziewiczej prawie puszczy, łowiąc dźwięki dobiegającego swego kresu dnia — ciche odgłosy układającej się do snu przyrody.

Odczucia wzrokowe, to jakby tylko tło subtelne do symfonji upojnego kwietniowego wieczoru — zatracająca stopniowo żywsze barwy dekoracja do łagodnie zmiennych, wciąż cichnących, coraz bliższych snu akordów życia.

W akordy te zaczynają wpadać jednak inne tony, pełne wartkiego tętna życia, najjaskrawszych, najżywszych jego przejawów. Gwizd i chrapanie ciągnącej słonki, śpieszącej po znanym sobie szlaku. Nieco złagodzony przez odległość, ale pełen wojowniczej nuty bulgot cietrzewia i ten bliski, coraz częściej rozlegający się szlif zapadłych wkoło głuszców, przesycony najwyższej skali jękiem namiętności.

— Tu, tu — będę czekał i grał o brzasku, kochanko ty moja, dla ciebie — przyjdź, przyjdź, przyjdź!...

Zmrok gęstnieje szybko. Drzewa i krzaki zatraciły już swe wyraźne sylwetki i przybierają jakieś dziwne, fantastyczne kształty. Dwa cienie przesuwają się wolno, ostrożnie, po zczerniałych, obrośniętych mchem kładkach, w kierunku brzegu. Idą długo. Noc już zupełna, ostatnie blaski wieczornej poświaty zachodu stopiły się w głębokiej czerni nieba, roziskrzonego teraz miljonami gwiazd. Cisza taka, jaką się tylko słyszy czasem na koncercie przed burzą oklasków, po ostatnim akordzie muzyki, lub w sekundach przerwy w mowie wielkiego mówcy.

Wreszcie brzeg, kawał pola i pierwsze chaty małego zaścianka. Tu dopiero zawiązuje się rozmowa i toczy się długo, zatrzymując nas przed gajówką. Na ganku gajówki ukazuje się hoża gosposia i prosi na kolację, bo : „już pora — rano Panu wstawać, to i pospać jeszcze trochę trzeba". — Krótki posiłek, słuchawki kryształkowego radja na uszy — dziennik wieczorny, jakaś doskonała, usypiająca pogadanka propagandowa, wreszcie parę upojnych tang i — spać.

*

Jesteśmy znów na kładkach. Żaden głos nie mąci długi czas martwej ciszy. Powoli czarny cień nocy zaczyna się mącić od wsysającego się weń wątłego światła brzasku.

Niby prąd elektryczny, przechodzi nas w pewnej chwili pierwszy głos zbudzonego królewskiego ptaka. Słuchamy. Budzą się i inne ptaki — odzywa się drugi, trzeci, czwarty... — Czekamy. Coraz śmielej, wyraźniej — zadźwięczały wreszcie cicho kastaniety, zajęczał szlif — mamy pełną pieśń.

Gdy najbliższy nas głuszec gra już dobrze, zaczynamy podchodzić i zbliżamy się szybko. — Jesteśmy „pod pieśnią"! Brzmi ona jakimś dziwnym rezonansem wkoło, jakby czarując swym urokiem cały las. Wypatrujemy sylwetkę ptaka na tle ciemnego opalu nieba. Stąd nie widać — przesłaniają gałęzie. Daję ręką znać gajowemu, by został na miejscu i przesuwam się w prawo naokoło kępy kilku wyższych sosenek, skąd wyraźnie dochodzi „gra". — O, jest! Dość wyraźny, charakterystyczny kształt. Ciemno jeszcze, więc czekam na ruch, który będzie sprawdzianem, że to głuszec. Wreszcie widzę i ruch harmonijnie związany z pieśnią. Tak, to on. — Jeszcze jedna pieśń, druga, piąta, dziewiąta...

— Strzelaj Pan — słyszę „w pieśń" głos gajowego. — A ja boję się wprost podnieść strzelbę, bo przecież ten huk strzału przerwie najpiękniejsze misterjum miłości i wiosny...

— Czy to nie sen? — przelatuje mi myśl... — Nie.



— Kury podlatują — niecierpliwi się gajowy.

Huk strzału zagłusza tony szlifowania i martwy ptak ciężko spada z gałęzi na mokry mech.

— Czy to nie sen wszystko?

Gajowy przynosi ptaka. Dotykam go ręką. Nie, to nie sen!

Wracamy na kładki... wychodzimy na brzeg...

Powrót z polowania w puszczy... Na dworcu w Wilnie spotykam znajomych. Powitania. „Ach, jaki piękny głuszec!" Drobna, wytworna rączka jednej z pań dotyka lśniącej szmaragdem i fioletem piersi trubadura puszczy.

— Ach, więc to jednak sen! Przecież tej Pani niema w Wilnie, przecież z tej części Puszczy Rudnickiej nie wraca się koleją.

Budzę się.

*

Zapalam latarkę elektryczną. Jest za pięć pierwsza, za chwilę zadzwoni budzik gajowego. Kilka łyków chłodnej, zostawionej z wieczora na krześle przy łóżku herbaty — by się oszukać, że nie palę naczczo. Papieros.

I w tych kilku minutach oczekiwania przechodzą mi przez duszę szeregiem różne wrażenia, uczucia, myśli...

Przypominam sobie rozdział „Sen Demetrjusza" z powieści Piotra Louis „Afrodyta". — Mojem zdaniem, to jedna ze słabszych jego rzeczy, ale ten rozdział jest napisany z ogromnym artyzmem. Nie znam w literaturze piękniejszego opisu aktu pieszczoty. I — dalej — konsekwencje tego snu — Demetrjusz, wytrawny znawca tej dziedziny życia, wiedział, że bywa, iż stąpając realnie drobną nóżką po ziemi „bóstwo" potrafi czasem zawieść nasze nadzieje. I nie chciał ryzykować zepsucia silnego, głębokiego wrażenia piękna aktu przeżytej we śnie pieszczoty.

Czy postąpił słusznie?— Hm! może i nie. Primo: jego niedoszła kochanka, można przypuszczać, chybaby nie zawiodła. Secundo: czekała ją śmierć i prosiła o tę chwilę pieszczoty, jako o osłodę ostatnich chwil życia. Może więc i nie należało poddawać się nakazowi daleko posuniętego egoizmu.

Dzwoni budzik. Idę na tok bezapelacyjnie, ale czy dane mi będzie dziś strzelać? — Wchodzi gajowy. Szybko ubieram się. Wychodzimy.

Jesteśmy już przy kładkach, gdy czarna noc otula jeszcze tajemniczy rojst. Zdala dolatuje klangor żórawi. Cicho, bez szelestu prawie dążymy do obranego wczoraj stanowiska. Nad linją kładek przeciągają gwiżdżąc i chrapiąc słonki — jedna, druga, trzecia.

Niedługo czekamy na tok. Zostawiam na kładkach kożuszek, potem niedaleko już głuszca, „gubię" gajowego, by mi nie deptał pod nim po piętach. Gdy nieomal już czuję bliskość zaśpiewanego ptaka, potykam się nagle i upadam na kolana. Czekam na „pieśń", by się podnieść. A głuszec zamilkł. Ręka oparta na kiju zaczyna mi omdlewać, bo klęczę bardzo niewygodnie. Ostrożnie sięgam drugą ręką do kija i w ten sposób ratuję się od upadku. A głuszec milczy, jak urzeczony. Słyszę wyraźnie w prawo ode mnie pieśń dwóch najbliższych głuszców i czekam, czekam. Jeszcze jest dobrze ciemno, ale zaczynam wypatrywać ptaka w tem miejscu, gdzie zdawało mi się, żem go już widział o kilka pieśni wstecz. Z lewej strony dolatuje kwoktanie kury. Dość blisko nawet. Nagle zauważam głuszca bliżej jeszcze, niż się spodziewałem. Siedzi na suchym czubku sporej sosenki o jakieś dwadzieścia kilka kroków ode mnie. Widzę go wyraźnie. Siedzi nieruchomo, jak skamieniały.



— Czego siedzisz, uciekaj warjacie! Jam już dziś strzelał! — Już zabiłem — może twego rywala, może ciebie nawet. — Ale to przecież był tylko sen, więc możesz uciec jeszcze! — Słyszałeś, tam wzywa cię twoja kochanka. Uciekaj! Spóźniła się z podejściem pod twoją estradę pieśni, nie mogła cię tu asekurować, ostrzedz trwożnem kwoktaniem i łopotem skrzydeł przed podbiegającym pod twoją pieśń złowrogim cieniem. Ale jest już tak blisko, wzywa cię — uciekaj! — Ach, jak się ucieszę, gdy odlecisz od niej!

Znów rozlega się z lewej strony kwoktanie kury, a potem namiętny szlif głuszca z prawej.

— Czego siedzisz! Czyż ty nie słyszysz nic, co się wokół ciebie dzieje? — Czy ty nie czujesz, że stąd uciekać trzeba natychmiast, natychmiast! — Uciekaj!

Martwa nieruchomość mego głuszca zaczyna mnie wprost męczyć. Wydaje mi się, że zawładnęła nim jakaś niema, okrutna trwoga, skuła w kamiennym bezruchu, w łamiącej, niszczącej rezygnacji. Że każda płynąca chwila jest i dla niego straszną męczarnią.

Odpycham kij — tkwi mocno w mchu. Unikając bocznych ruchów, ściągam z ramienia strzelbę. Przesuwam bezpiecznik — naoliwiony ani pisnął, bestja.

Raczej wyczuwalna, niż widzialna muszka trąca nieruchomy kształt wielkiego ptaka i huk strzału rozrywa głuchą w tej chwili ciszę brzasku.

Cicho, ostrożnie wycofujemy się do kładek.

— Ja widział, jak Pan upadł na kolana i że strzelba na ramieniu. Czy on co posłyszał, że przestał grać? Ja jego też już dobrze widział. On długo siedział i ani się ruszył. Ja już nie wiedział, co będzie, bo i kura kwoktała, aż raptem posłyszał strzał. Nu — udało się.

— Nie, mój drogi, on nic nie posłyszał, lecz poczuł chłodny powiew stojącej tuż przy nim śmierci. — Lecz czemuż nie wyczuł takiej gorącej, szczerej podniety do ucieczki?

Po pewnym czasie posuwamy się już kładkami w stronę brzegu. O kilkanaście kroków przed nami przelatuje nad kładkami z głośnem kwoktaniem kura.

— Słyszy Pan, jak płacze za nim? — odzywa się poza mną głos gajowego.

— Yi — ona się tam pocieszy, ale jego mi żal...

Czy potrzeba więc było oddawać ten drugi strzał o brzasku?... Kto wie...

LUDWIK RADYŃSKI

P U S Z C Z A

Lśni ponad czarną ponurą topielą
złoto - zielone grabowe sklepienie,
mieni się blaskiem porannych promieni.
Świerki gnieniegdzie ponad strop wystrzelą —
ponad olbrzymie dęby i jesiony...
W dole, na dziadów murszejących ciałach,
szczotką wyrosły tłumy świerczków małych —
wszędzie, gdzie padły skrzydlate nasiona...
Tu z cieniem walczą młodych grabów hufce;
tam olsze piją sok bagienny chciwie...
Puszcza osłoni wszystkich i wyżywi,
da schron i karmę rysiowi i mrówce!
Gody wyprawia huczne dla rogacza,
turniej jeleni urządza wzorowo,
a w zimie mroźną nocą księżycową
wilcze wesela opieką otacza!
Na wiosnę pieśnią głuszca rozmodlona,
świergotem ptactwa wezbrana, tętniąca —
Puszcza miłośnie wyciąga do słońca
swe niezliczone konary - ramiona!
W ciemnych zaroślach zacisznych ustroni,
gdzie dusza Puszczy drzemie mgłą spowita,
znajdzie przytułek nawet dzik - banita,
którego tropem ludzka klątwa goni!
O, Matko Puszczo! Los ochronił ciebie!
Wieki przetrwałaś i przetrwasz dopóty,
dopóki człowiek, z ludzkich cech wyzuty,
Twych niespożytych bogactw nie wytrzebi!

W. L. von FALKENAU

UROCZYSKO WILCZE BAGNO

Samochód zatrzymał się na 42-gim km. szosy augustowskiej. W pomroce gasnącego dnia potężne kontury Augustowskiej Puszczy otaczają mnie zewsząd ciemnemi, nieprzerwanemi pasmami jodeł, świerków i brzóz. Ten nieprzenikniony szpaler, kryjący za sobą niezgłębione tajemnice, drzemiące od wieków między wykrotami powalonych świerków i w niedostępnych błotnistych uroczyskach, tchnie jakąś nadziemską powagą, roztaczając niepojęty fluid, który niepodzielnie opanowuje duszę myśliwego. Za temi bowiem ścianami kryje się dla niego cały świat emocyj, przeżywanych na tokach głuszcowych i cietrzewich, na wieczornych ciągach słonek, lub na samotnych rozlewiskach leśnych przy krykusze, wołającej zdradzieckim głosem zaślepionych wiosennych kochanków. Z wielkim też pietyzmem zaszywam się leśną dróżką w gąszcze, zrywając na kilka dni kontakt z codziennem życiem.

Mało jest w Polsce tak pięknych puszcz, jaką jest bezsprzecznie Puszcza Augustowska. Wielka połać leśna, poprzecinana łańcuchami jezior i krętych leśnych rzeczułek, tworzy malowniczą całość. Olbrzymie sosny i świerki z lubością przyglądają się w drzemiących zwierciadłach wód. Pleśń i sędziwe brodate mchy obłażą, jak robactwo, nietylko powalone i butwiejące w błocie pnie, ale również, wyłaniając się z mroku gęstego podszycia leśnego, pną się do góry, aż do konarów, zwisając girlandami na dół. Przelotny wiaterek nieustannie kołysze temi warkoczami, obsypując szarym pyłem przygodnych przechodniów. Zielona, stojąca woda czyni nieustanne spustoszenie wśród walących się drzew, zamieniając je w krótkim czasie w próchno. Harmonję i błogi spokój odczuwa się w każdym zakątku leśnym. I tylko figlarny wiaterek uwodzicielskim podmuchem, lekkim, jak lot nietoperza, czasami zaszemrze po trzcinach i oczeretach i znowu nastaje cisza.

Po kwadransie dotarłem do gajówki, położonej na polanie, wśród brzozowego lasu. Gajowy jeszcze nie wrócił z zapadów. Sam, niestety, nie mogłem sobie zasadzić głuszca, gdyż przyjechałem zbyt późno. Nie zdążyłem jeszcze zjeść kolacji, gdy drzwi otworzyły się i za chwilę ukazała się barczysta postać gajowego. Stanął na baczność i złożył wojskowy ukłon. Dobroduszna, uśmiechnięta twarz zdradzała stanowczość, siłę i odwagę.

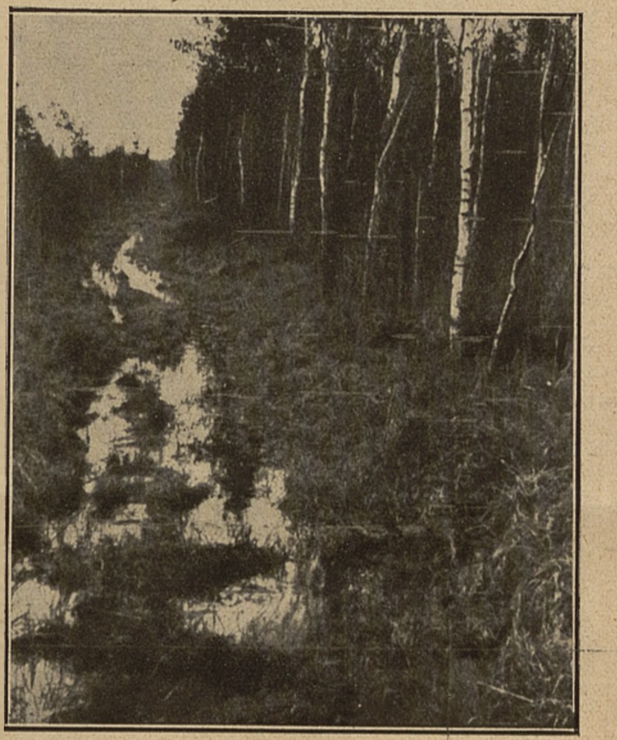
— No i co? — zapytałem niecierpliwie, patrząc z przyjemnością na męską postawę Dawidowicza, tak bowiem nazywał się gajowy.

— Wszystko dobrze — zasadziłem cztery koguty w pobliżu tego miejsca gdzie stałem, nie licząc pięciu, które zapadły trochę dalej. Usiadły późno i mocno, jeden nawet uciął kilka pieśni. Tok zapowiada się dobrze.

Po półgodzinnej rozmowie na temat głuszców i toków, pożegnałem Dawidowicza i kazałem obudzić się o godzinie pierwszej.

Nazajutrz wpół do drugiej opuszczamy gajówkę, ufni w powodzenie, gdyż pogoda była wymarzona. Cisza panowała zupełna. Niebo roziskrzone miljonami jarzących się gwiazd wyraźnie sprzyja naszym zamiarom. Blada poświata księżycowa oblewa roztopionem srebrem strzeliste wierzchołki niebotycznych świerków. Biała szosa, na którą wkrótce wyszliśmy, ginęła wąską wstęgą w dali. Idziemy drogą w skupieniu, obawiając się rozproszyć rozmową otaczający nastrój.

Wszak wybieramy się na głuszca, marzenie wielu, wielu lat! — Czy będzie śpiewał, czy nie urwie w krytycznej chwili? — podobne myśli rojem tłoczyły się do mojej głowy. Nie spostrzegłem, kiedy uszliśmy około dwóch kilometrów i skręcili w leśną ścieżkę. Teraz otoczenie zmieniło się zupełnie. Nocny mrok otulił nas w swe objęcia. Trzeba było zapalić latarki elektryczne. Jak nocne duchy, liżąc smugami bladego światła oślizgłe pnie powalonych olbrzymów, posuwamy się po bagnie chwiejnym krokiem. Gąszcze stają się coraz bardziej nieprzeniknione, bajora coraz szersze i głębsze. Czasami zapadamy prawie po kolana w błocie. Gdyby nie kij, którym pomagam sobie, nieraz leżałbym jak długi w czarnej, lepkiej wodzie.



Z Puszczy Augustowskiej. Dojście na toki.
Fot. E. Bohdanowicz.

Po przebrnięciu kilkuset kroków przewodnik daje mi znać, że należy zgasić światło i posuwać się nieco ostrożniej. Spojrzałem ostatni raz na zegarek i wyłączyłem latarkę. Głębokie ciemności zapanowały wokoło. Uczyniłem pierwszy krok i wyrżnąłem nogą w korzeń. Niewidoczne pęcherze z bulgotaniem poczęły wydostawać się na powierzchnię wody. Początek nie był fortunny. Puściłem w ruch swą jedyną mackę. Kij natrafiał raz na pień drzewa, drugi raz w próżnię. Po pewnym czasie oczy oswoiły się z ciemnością i oto z mroku zaczęły wyłaniać się kontury drzew, tafle czarnej wody i zdradziecko ruszające się kępy. Przysłuchiwałem się Dawidowiczowi. Szedł, jak ryś, podkradający się do sarny. Tak chodzić, to trzeba umieć — myślałem w duchu — niedoścignione marzenia!

Im dłużej szliśmy, tem lepiej dawałem sobie radę, włożyłem bowiem w to cały swój wysiłek, całą wolę i umiejętność. Wkrótce zwały i wykroty stały się rzadsze, przed nami zajaśniał horyzont i zobaczyłem niebo. Wysokopienny świerkowy bór urwał się i przed oczyma wyłoniły się mszary, porośnięte rzadkiemi sosnami i łozą.

Posuwamy się wąską strugą leśną, stawiając ostrożnie nogi do wody, przez co unikamy znakomicie łamania suchych gałęzi, trzask których najbardziej płoszy zwierzynę. Słabe bulgotanie upodabnia się w zupełności do szmeru bieżącej wody. Z prawej strony,

przez rzadkie sosny przygląda się zachodzący księżyc. Spojrzałem na zegarek: — za kwadrans trzecia.

Idziemy już pięć kwadransów. Do tokowiska mamy jeszcze około pół kilometra. Posuwamy się coraz wolniej i ostrożniej. Dochodzimy do poprzecznej przesieki, gdzie pozwalamy sobie na dwuminutowy odpoczynek, poczem brniemy dalej, skręcając w lewo. Minuty idą za minutami, przestrzeń zaś ucieka w coraz wolniejszem tempie. Z prawej strony wyłania się stary las, pokryty łozą i odwiecznemi mszarami. Tu jest królestwo głuszców!



Z Puszczy Augustowskiej. Leśne bagienko.
Fot. E. Bohdanowicz.

Stajemy, łowiąc uchem najmniejsze szmery, lecz wyczulony słuch nic nie może uchwycić. Wszystko pogrążone jest we śnie. Jesteśmy w obrębie tokowiska, przeto zdwajamy ostrożność, posuwając się wciąż naprzód żółwim krokiem.

Dawidowicz pokazuje podniesiony palec. Aha! Mamy jeszcze sto metrów wedrzeć się do środka. Nagle ogarnia mnie przerażenie na myśl, że możemy przecież natknąć się na głuszca, spłoszyć go i oznajmić wszystkim pozostałym, że ktoś niepożądany wdziera się do ich przybytku wiosennych godów.

Gajowy intuicyjnie odgaduje moje myśli, schyla się też co pewien czas, wyglądając na tle szarzejącego nieba dobrze znanej sylwetki uśpionego głuszca. Wreszcie ręka Dawidowicza wskazuje pniak, dając tem samem do zrozumienia, że tu będziemy czekać na pierwsze klapnięcie koguta. Wskazówki zegarka wskazywały trzecią godzinę.

Na wschodzie, na tle granatowego nieba wyraźnie zarysowała się czarna, wzorzysta koronka wierzchołków sosen. Gwiazdy powoli zaczynają gasnąć. Upojony pięknem otaczającej natury, powoli pogrążam się w zapomnieniu, gdy przeraźliwy ryk, a potem szczekanie samotnego kozła, przywróciły mnie do rzeczywistości. Tupanie racic wskazywało wyraźnie kierunek oddalającego się zwierza. Szedł wprost przez środek tokowiska. Jakim sposobem nie rozpędził nam głuszców, tego do tej pory nie mogę zrozumieć *). Szczekanie trwało kilka minut. Przez ten czas przeżywałem prawdziwe męki Tantala.

Nocna cisza znów przykryła tajemniczością i zapomnieniem wszelkie odruchy nocnego życia. Myśl spłoszona chwilowo, uporczywie wraca do swego dawnego łożyska i przenosi mnie ponownie w świat urojenia. Gdzieś w niewidocznej przestrzeni odezwało się buczenie nurkującego ślizgowym lotem bekasa, w pobliżu chrapnęła słonka. Poranne zwiastuny wieszczą nieomylnie nadchodzący świt.

Wtem ucho złowiło oddawna oczekiwany dźwięk: klap-klap — cichy, lecz równocześnie wyraźny, pierwszy akord leśnej pieśni przypłynął do nas z oddalonej, niewidocznej sosny, na której król puszczy, brodaty głuszec, obrał sobie miejsce dzisiejszych godów. Mała przerwa i znów kilka klapnięć.

Dawidowicz dał znak, powstał ostrożnie z pnia i przechyliwszy się w stronę grającego koguta — nasłuchiwał. Teraz obok klapania usłyszałem wyraźnie korkowanie, poczem ptak zaczął szlifować, wpadając w najwyższą ekstazę miłosną. Gwałtowny sprężysty wysiłek wszystkich mięśni i jesteśmy o trzy metry bliżej gracza. Cisza — jakgdyby nic nie zaszło. Kogut nasłuchuje, my przemienieni w dwa słupy soli staramy się powstrzymać przyśpieszony oddech i gwałtowne bicie serca.

Znów pieśń i znów dwa susy, druzgocące po drodze wszelkie przeszkody w postaci suchych gałęzi i zbutwiałych pni. Odległość między czarnym trubadurem a nami wyraźnie zmniejsza się. Teraz już bardzo wyraźnie słyszę szlifowanie. Odczuwam olbrzymie naprężenie ptaka, nerwowy urwany szmer dzioba i gardła, słyszę niemal szelest rozpuszczanego wachlarza. Wszystko to w jeszcze większym stopniu pobudza mnie do emocji, a moje uda i ręce do nieuchwytnych, nieopanowanych drgań. Jeszcze kilka skoków i już widzę koguta, siedzącego na bocznej gałęzi sosny.

Nasłuchuje. Nawpół zwinięty wachlarz opuszczone skrzydła i zadarta głowa, tworzą charakterystyczną sylwetkę ptaka. Klapie. Drgające ruchy wachlarza i obniżanie szyi towarzyszą każdemu dźwiękowi. Lecz oto podniósł głowę, rozpuścił ogon i dźwięki szlifowania, po uprzedniem odkorkowaniu, docierają do nas. Skok jeden, drugi i jesteśmy w bagnie.

Głuszec urwał, a my rozkraczeni, w niesamowitej postawie zastygamy w bezruchu. Nie wiem jak długo to trwało. Może pięć minut, może wieczność **). Wiem tylko, że gdy usłyszałem zbawienne szlifowanie, opadałem z ostatnich sił. Pot lat się ze mnie strugami, nogi drżały, jak struny, byłem bliski omdlenia.

Przez pierwszą pieśń prostuję się, przez drugą i trzecią odpoczywam, a dopiero później zaczynam wydobywać się z błota. Wreszcie jeszcze skok i jestem od głuszca w odległości czterdziestu kroków.

Pieśń — strzał — i ciężkie, czarne cielsko z łoskotem obsunęło się z sosny.

W tej chwili pierwsze promienie wyłaniającej się zorzy oblały złotem wierzchołki sosen... Patrzałem z ogniem w oczach i radością w sercu na wschodzące słońce, które rozwiało tajemnicze nocne misterja, a zapoczątkowało nowy dzień i powołało do życia budzącą się naturę.

EDWARD BOHDANOWICZ

---

*) Głuszce na wycie wilków, szczekanie kozłów, różne odgłosy, dochodzące czasem z pobliskich wsi, ba! nawet na daleki strzał i t. p., o ile do nich zdążyły się przyzwyczaić — nie reagują. Natomiast każdy odgłos niezwykły lub nawet szelest płoszy je. (Przyp. red.).

**) Tego się nigdy nie robi. Zawsze należy nogi zestawiać po podskoku razem, choćby za cenę jednego kroku mniej. (Przyp. red.)

GDZIE WY?..

Imć Pan Dwuczuby-Perkoz spędził ostatnią zimę nie na dancingach, nie na bridżu, ani też na terenach narciarskich, ale na cieplejszych, niż rodzime wody, falach Bałtyku. Już tak z przyzwyczajenia, z tradycji — bo ją kochał — lubił się wywczasować na morzu; był to już jego trzeci sezon zimowy na Bałtyckiem Morzu. Miał bowiem Imć Pan Dwuczuby-Perkoz swoje dziwaczne przyzwyczajenia: lubił patrzeć na igraszki krzykliwych mew, na manewry wielkich okrętów (ale zdaleka), lubił siwych rybaków, pochylonych nad srebrną — w czas świtu — wodą morza. A do tego, będąc otyły, jak każdy „imć pan", był — trzeba wyznać — trochę leniwy...

Z tych to powodów Perkoz zimował zawsze na Bałtyku.

Ale kiedy w pewien słoneczny dzień wiosenny zaczęły intensywniej i swarliwiej pluskać rzeki wpadające do morza, zabiło szybszem tętnem małe serce w ptaku, wychudłym po niedawnych niepowodzeniach natury gospodarczo-żywnościowej.

Coś zaczęło go wabić nocami i wzywać do wędrówki w strony, gdzie malutkiem pisklęciem podróżował na grzbiecie swej pięknej i dobrej matki... Gdzie poznał towarzyszkę swojego życia, która teraz wypoczywała daleko za morzami. Ona też miała swoje zwyczaje; podobnie zresztą, jak u ludzi: ten jedzie do Karlsbadu, tamta do Krynicy, ktoś inny do Buska czy Druskienik. To samo było i w rodzinie perkoziej: mąż zimował na Bałtyku, a żona daleko, przy innych lądach.

Imć Pan Dwuczuby-Perkoz chociaż o piękną żonę był zazdrosny, ale też również spokojny. Rdzawokreza bowiem — (tak ją kiedyś nazwał, wyznając swą miłość) — była wierną żoną, której pożycie małżeńskie mogłoby z pewnością służyć za wzór dla niejednej ludzkiej żony... Trzeba bowiem wiedzieć, że w rodzinie perkoziej na wiarołomstwo miejsca niema i że pary łączą się na całe życie, na szczęście i niedolę. Jedynie śmierć jednej strony zwalnia od ślubów drugą.

To też ufny całkowicie w prawość swej małżonki Imć Pan Dwuczuby-Perkoz oczekiwał z tęsknotą jej powrotu. „Umówili się" na jesieni, że spotkają się tu, przy brzegach Bałtyku i razem polecą w kierunku jezior na niżu. Razem weselej odbywać taką wędrówkę...

Gdyby Imć Pan Dwuczuby-Perkoz posiadał znajomość geografji ludzkiej — obok ptasiej — wiedziałby, że strony, w które go tak „coś" ciągnęło, były terytorjum Polski, Wileńszczyzną. Perkoz w sprawy zawiłe się nie bawił: nie miał żadnego zabarwienia politycznego, ani też nie dążył do zasilenia swym głosem (skądinąd — pięknym) jakiejś partji, czy odłamu społeczeństwa ptasiego...

Dla niego te rzeczy były obce. Że leciał w stronę wschodu — było to wynikiem odczucia nakazu wewnętrznego — instynktu i głosu z zewnątrz — zewu natury.

Wreszcie nadleciała kiedyś żona Dwuczubego, Rdzawokreza. Przywitał ją serdecznie, dumny, że nie zbłądziła wśród wertepów nadziemskich. Porozumieli się i ruszyli wspólnie, jedno za drugiem. Lecieli we dnie, kiedy uśmiechały się do nich ziemie jasnemi oczyma rozlewów — i w noce, kiedy mrok uroczysty dzierżył berło nad światem i tylko znikomym światełkom gwiazd pozwalał oświecać drogę podróżnikom...

Najbardziej lubiła para perkozia lecieć o srebrnym świcie, kiedy jeszcze w rosach tonęły doliny i słońce nie wzeszło, albo w czas późnych wieczorów, w aureoli barwnych wiosennych zachodów. Lot ptaków był szybki, szczególnie wtedy, gdy szły na dużej wysokości — pełen rozpędu i mocy. Wyciągnąwszy szyje do przodu, jak groty włóczni, pruły ostro powietrze, bijąc tęgo, szybko krótkiemi skrzydłami. Charakterystyczny świst napełniał ciszę nocy, marzenie świtu, lub tęsknotę wieczoru. Czasami ptaki spadały na żer na wody, spotkane po drodze. Czasami dłużej wypoczywały w mglistej zasłonie młodych, wyrastających wodnych roślin. A potem odżywione i pełne siły — znów podrywały się do lotu i gnały stęsknione tam, dokąd je wzywał głos mocnej, odwiecznej natury.



Gołębiarz w chwili lądowania. Fot. A. Jutrowski.

*

Rozesłała się nisko, w dole, na szerokich, zielonych równinach lśniąca blacha znajomego jeziora. Ucieszone ptaki wydały porozumiewawcze głosy—już dość miały powietrznej tułaczki. Teraz tylko spaść na wody, karmu szukać i snuć błogie myśli o założeniu gniazda i wychowaniu małej dziatwy. Tu jest bezpiecznie i cicho, czasami tylko ukaże się w dali smuga czegoś białego, przyczepiona nad łodzią, w której płynie spokojny człowiek...

Ale ile razy zakładał tu gniazdo Perkoz, nigdy mu krzywdy owa łódź nie wyrządziła. Była to żaglówka, którą często lubiłem „wychodzić" na wodę, kiedy był lepszy wiatr.

Para perkozów nie śpieszyła się z gniazdowaniem. Imć Pan Dwuczuby-Perkoz zwykł był czekać aż trzcina porośnie i da możność przymocowania do niej gniazda i osłonę przed chytrem okiem jakiegokolwiekbądź ewentualnego wroga. Zdanie męża całkowicie podzielała rozumna żona.

W czasie poszukiwania dobrego materjału na gniazdo i wspominania czasów młodości perkozy ożywiły się. Głosami swemi napełniały często nadjeziorną ciszę. Piękny mąż, odświeżony według jednakowej zawsze i zawsze gustownej mody — przyznanej mu przez naturę — wabił godowo:

— Krraorr... krraorr...

A wdzięczna Rdzawokreza pięknym wyższym tonem odpowiadała mu z lubością:

— Krruorr... krruorr...

Tak toczyła się na wodach pięknego jeziora trzecia „repeta" pierwszej słodkiej sielanki ptasiej, ongiś, przed laty przeżytej tu, nie gdzieindziej.

Wreszcie z wodnych roślin zaczęło powstawać w zacisznym, dzikim zakątku perkozowe gniazdko. Jako materjału budowlanego użyły ptaki: trzciny, rogatku, wywłócznika i rdestnicy. Gniazdo było duże mające 42 cm. w przekroju, z wgłębieniem na wierzchu, przykrytem mułem i gnijącemi roślinami. Od dołu podmakało dość silnie wodą, ale to nie miało wcale przeszkadzać w wysiadywaniu cennych jaj. Wiedzieli o tem dobrze — tak żona, jak i mąż.

Gniazdo ukończone zostało w połowie czerwca. Uroczysty to był moment (i bardzo przypominający nastrój w czasie przecinania wstęgi na wystawie krajowej...), kiedy samica, znajdując się przy boku małżonka, zawabiła serdecznie: kek... kek... i „poszła" do gniazda „przymierzyć się". Oczywiście pomiary wypadły doskonale. Widać to było po zachowaniu się i wesołych głosach ptaków.



Na wiosennych rozlewach. Fot. J. Hołyński.

Nazajutrz już leżało w gnieździe jedno jasno-niebieskie jajko sporej wielkości. Gdyby Imć Pan Dwuczuby-Perkoz znał miarę systemu metrycznego, stwierdziłby, że jajko miało 62,5 mm długości a 38.8 mm szerokości. Od tej chwili codzień nowe przybywało jajko. Kiedy ich było cztery — Rdzawokreza jęła się trudu wysiadywania. Bardzo często wyręczał ją w tem dobry mąż.

Czerwone słońce ślizgało się po oczeretach, lśniło w mokrych liściach wodnych roślin i łaskawie spoglądało na perkozie gniazdo. Czasami upał doskwierał pracowitym ptakom, czasami ogarniała je chęć popluskania się w chłodnej wodzie, lub spoczynku w cieniu, ale dzielnie umiały trwać na stanowisku. Instynkt zachowania gatunku trzymał je silną dłonią na gnieździe.

Jednego ranka, kiedy wstał silny wiatr i giął czuby nadbrzeżnych łóz ku wodzie, wypłynąłem z przystani żaglówką.

Jedenasto-centymetrowa fala pieniła się na jeziorze grzbietami małych bałwanów, ale niebo było pogodne, czyste.

Wypuściłem żagiel na pełny wiatr i parłem prosto ku dalekiemu brzegowi, zważając, by „bom" nie trzasnął mnie w głowę przy ewentualnym przerzucie żagla na prawą burtę. .

Drobne falki pluskały o dziób łodzi, szeleściły uparcie. Już od tygodnia nie miałem „szkota" w dłoni, to też z lubością korzystałem z rozkoszy żeglowania. Patrząc na odległy dziki brzeg, porośnięty gąszczem różnej roślinności i lasem olchowym, przypomniałem sobie o starych znajomych — o perkoziej rodzinie. Przecież to zbliżał się ku końcowi trzytygodniowy okres wysiadania jaj; wkrótce małe pisklęta miały już podróżować na grzbietach rodziców...

Daleko na wodzie, przyjrzawszy się pilnie, spostrzegłem Imć Pana Dwuczubego - Perkoza, jak, zgiąwszy szyję w dumne S, wiosłował umiejętnie po czubach wysokich fal, często zmieniając głębokość zanurzenia swego ciała. Ściągnąłem zlekka „szkot" i odepchnąłem od siebie „rumpel", ażeby „odpaść" od dotychczasowego kierunku i nie zakłócać spokoju ptaka. Podczas tych moich zajęć suchy trzask flowerowego wystrzału smagnął, jak bicz, po wodzie...

I cicho.

Spojrzawszy w stronę, gdzie niedawno pływał perkoz, nie mogłem odszukać ptaka: dał widocznie tęgiego nura pod wodę.

Ustawiłem jolkę tak, by módz obserwować krytyczne miejsce. Wreszcie udało mi się odszukać ptaka o kilkadziesiąt metrów na lewo. Skryty pod wodą, wytknąwszy tylko szyję, rozglądał się zaniepokojony na wszystkie strony.

Rzecz dziwna: coś kazało mi zbliżyć się do miejsca, gdzie znajdowało się gniazdo. Wykorzystałem odpowiednio silny wiatr i, zatoczywszy łuk, znalazłem się wkrótce przy brzegu. Nie zerwała się wcale samica, żaden ruch nie mówił o życiu. Nachyliłem się nad gniazdem: nie było nic — ani Rdzawokreszej, ani piskląt, ani jaj; pustka śmierci...

Tylko woda zmącona, brudna kłębiła się balonikami powietrza, jakby ktoś przed chwilą grzązł tutaj w bagnistem dnie. A skrawek blado - niebieskiej łupinki ślizgał się wśród gęstwy szerokich liści...

To wszystko, co zostało po perkozich nadziejach.

Ogarnęła mnie dzika pasja: złapać złoczyńcę! Kto był i jak tego dokonał — mniejsza, ale szukać go, schwytać!

Z trudem wybrnąłem łodzią z płycizny, podnosząc „miecz", który już czepił o dno, i opierając się „dryfowaniu", wypłynąłem wreszcie na „pełne" jezioro.

Było mi wszystko jedno.

Nabrałem w żagle pełnego wiatru i, podniósłszy „miecz", wjechałem tęgim susem pod sam brzeg, między olchy. Jakaś postać nieduża, w granatowem ubraniu, z pałką broni mignęła mi przed oczyma w splątanym gąszczu.

— Stój, psiakrrew, bo będę strzelał! — krzyknąłem dziko, zapominając, że poza fińskim nożem innej broni przy sobie nie miałem.

Nie pamiętając o szacunku, należnym łodzi, wyskoczyłem na brzeg i... — runąłem pod gałęzie w wodę.

Wybiegłem wkrótce na brzeg, przeszukałem gąszcze olchowe, przetrząsnąłem lasek łozin i — nic. Wtedy zaczaiłem się na wzgórzu, w kępie drzew, chcąc zwieść kłusownika złudną ciszą. Nic z tego. Dokoła, zaczynając się za olszniakami, ciągnęły się grubym wałem gęste dębowe lasy. Często w te okolice wyprawiali się na wycieczki uczniowie gimnazjalni całą klasą, z opieką, albo i samopas. Byłem pewny, że to robota któregoś z nich.

Nie pozostawało nic innego, jak skręcić w stronę brzegu i zająć się miotaną falami, bezczeszczoną łodzią.

Kiedy znalazłem się na brzegu, oczom moim ukazała się biała pierś wydętego żagla, przebita czarną, rozczapierzoną gałęzią olchy. A z szumem wody doleciał uszu moich krzyk wdowca Imć Pana Dwuczubego - Perkoza, brzmiący jak smutne, retoryczne pytanie:

„Krrawor, krrawor, — Gdzie wy, gdzie wy?..."

TYTUS KARPOWICZ.



Z IV Ogólnopolskich Zawodów Pionek w strzelaniu do rzutków. Na standzie jedna z „szóstek" odrabia swoją serję.

JESZCZE W SPRAWIE ZAWODÓW STRZELECKICH 1937 R. W HELSINKACH

Wobec zbliżającego się sezonu strzelań myśliwskich do rzutków bardzo na czasie był reportaż P. Antoniego Baranowskiego o zeszłorocznych Międzynarodowych Zawodach Strzeleckich w Helsinkach.

Ponieważ nie ze wszystkiemi poglądami Szanownego Autora zgodzić się mogę, więc muszę cierpliwych czytelników „Łowca Polskiego" przez chwilę zająć sprawą techniki strzelania konkursowego, które w gruncie rzeczy jest techniką strzelania wogóle.

Rozpatrując swoje wspomnienia i obserwacje z przeszło 30 lat strzelań na zawodach w całej prawie Europie, doszedłem do przekonania, że powodzenia lub „zawody" są wynikiem przedewszystkiem stanu psychicznego zawodnika oraz bezpośrednim wykładnikiem jego „siły woli" i umiejętności koncentrowania uwagi. Te moje zapatrywania podzielają wszyscy doświadczeni strzelcy, z którymi na ten temat rozmawiałem. Spróbuję te zjawiska wytłomaczyć.

Który z nas, zaprawiając się w strzelaniu do rzutków, nie powtarzał jednego kierunku wielokrotnie i nie dochodził z łatwością do trafiania kilkanaście razy pod rząd bez pudła? A więc wiedział wiele założyć przed i nad cel i kiedy „w porę pociągnąć". W ten sam sposób można wyćwiczyć wszystkie kierunki, więc, zdawałoby się, chybić niepodobna. A jednak człowiek pudłuje niespodziewanie rzutek w zupełnie opanowanym przed chwilą kierunku, a w dodatku potem nieraz nie umie sobie wytłomaczyć powodu. A odpowiedź prosta: refleksy działały odmiennie. Podczas współdziałania ręki, oka, mózgu — w przewodach komunikacyjnych nastąpiło krótkie spięcie, rozkaz strzału wyszedł nie we właściwym momencie i pocisk do celu nie trafił. A który z nas nie pamięta odczucia: wie, że pudłuje, a strzału powstrzymać nie może?

Stwierdziwszy fakt zależności celności strzałów od stanu psychofizycznego, należy szukać sposobów, aby sprawność naszą podnieść.

Tutaj reguły żadnej. Wszystko zależne od indywidualności strzelca, dla tego samego człowieka różne środki bywają skuteczne w różnych czasach i okolicznościach. Wyłania się pytanie, co robić należy, aby podnieść sprawność strzelecką. Trafną odpowiedź może dać jedynie doświadczenie i intuicja samego strzelca, albo jego „manager'a". Na tem polu Ameryka bardzo Europę wyprzedziła. Tam wybitniejsi strzelcy jeżdżą na zawody zawsze z opiekunem, który się stara zawodnika utrzymać w najlepszym psychicznym nastroju, dać mu właściwą porcję alkoholu lub kofeiny, albo właśnie pilnować, żeby tych podniet nie używał.

Przed paru laty amerykanin Renfro przyjechał strzelać do gołębi, przywożąc przyjaciela-opiekuna i kucharza. Renfro był znakomitością, mającą naprzykład rekord 50 dubletów kolejnych do rzutków. W Monte-Carlo wygrał nieomal co chciał. A jednak w Grand Prix du Casino, najklasyczniejszej nagrodzie świata, będąc faworytem i bardzo pewnym siebie, pyszny pan Renfro, mając 7/9, jak niepyszny odpadł nawet bez miejsca, gdyż jakiś refleksik figielka spłatał. Nagrodę wygrał młodziutki Węgier Sandor Dora, pomimo że Renfro był wtedy od niego o klasę wyższy i zabił 530/598 gołębi w sezonie, a Dora tylko 220/256. Ten sam Węgier, będąc niewątpliwie najlepszym strzelcem 1927 roku w Monte-Carlo, wygrywającym prawie stale, właśnie w najważniejszych nagrodach, o które oczywiście najbardziej mu chodziło, mianowicie Grand Prix i Championnat Triennal, nie zdołał się utrzymać na pierwszem miejscu.

Piszę te przykłady z życia „największych", aby uwypuklić wagę czynnika nieuchwytnego i nieopanowanego. Można nazwać go, jak się chce, czy to refleksami, czy nastrojem, czy też i szczęściem.

A pomimo nieuchwytności czynnika psychicznego, należy ciągle siebie obserwować i wynaleźć możliwie najwłaściwszy środek, któryby „zahypnotyzował na zwycięzcę".

Środkiem takim może być dla niektórych osób alkohol, kawa, a nawet jedno i drugie razem. Próbowałem „Cola Astier" bez wyraźnego skutku. Również mistrz Kiszkurno używał Colę jakiś czas, lecz potem zarzucił i mówił mi, że to mu raczej szkodzi.

Widziałem zażywane różne bromy i preparaty walerianowe i t. p. Jedna rzecz tylko wydaje się zawsze nieszkodliwą, a często pomocną: umiar w jedzeniu i piciu: nieprzeciążanie żołądka i wogóle absty-

nencja. Znam cały szereg wybitnych strzelców, którzy strzelają lekko „podgazowani". Ale biada takiemu, jeżeli jeden łyk za wiele wypije. Takim był naprzykład dawniej sławny Kazancew, a ze współczesnych Dr. Schöbel i Göldel. Również zeszłoroczny mistrz świata Koni Huber nie gardzi kieliszkiem i widzieliśmy, że mu to wtedy na złe nie wyszło. Inni znowu, jak Dora, piją kawę, a Józef Kiszkurno podtrzymuje serce herbatą i słodyczami, a unika alkoholu.

Streszczając: reguły niema, każdy strzelec winien znaleźć najwłaściwszą dla siebie receptę dochodzenia do szczytowej formy. A najlepiej bez apteki.

Teraz kilka wyjaśnień w sprawie naszych niepowodzeń w Helsinkach. Ekipa nasza była świetnie przygotowana, z dużemi możliwościami, o czem aż z a n a d t o dobrze wiedziała. I właśnie to przeświadczenie bywa nieraz fatalne, jak to się w skutkach dobitnie wykazało.

Zgodzić się nie mogę z p. Baranowskim, że trudniej strzelać do wolnych rzutków w bezwietrzną pogodę, albo też nawet do „balonów". Wręcz przeciwnie — zawsze jest łatwiej strzelać do wolniejszych talerzyków, niż do szybkich, łatwiej bez wiatru, niż z wiatrem, i to tem łatwiej, im strzelec jest więcej doświadczony.

Uważam, że wysyłanie na dłuższy czas przed zawodami kogoś, któryby oglądał stand, również nie prowadziłoby do celu, gdyż tak ważnego czynnika, jak klimat i tło, przenieść na rodzimy teren się nie da. Natomiast jest jedna istotna rzecz, która może być zreformowana. Jest to wyrównanie szybkości rzutu, wysokości i kątów, tak żeby nikogo nie faworyzować możliwościami specjalnego treningu. Sprawa ta była poruszana na posiedzeniu Federacji Międzynarodowej i ma być uregulowana.

Pozostałyby zatem jako niewiadome: klimat i tło, czego regulaminowo ująć się już nie da.

Ciekawe było dla mnie również stwierdzenie faktu, że obca kuchnia i klimat działają dopiero po pewnym czasie i że trzeba dłuższego okresu, aby się organizm przystosował. Prawie wszyscy strzelaliśmy lepiej w treningu, niż potem. Najlepiej znosił tamtejsze warunki p. Wilhelm Ziegenhirte, który poza słabszym wynikiem trzeciego dnia treningu ciągle szedł w górę. A przecież wielokrotny mistrz Polski i Świata p. Józef Kiszkurno lepiej strzelał w treningu (285/300), niż w konkurencji (282/300). I tutaj znowu widoczne było, że dopiero ostatniego dnia, gdy się uspokoił i opanował, nie kandydując już na żadne mistrzostwo, strzelał znakomicie. A chybił dopiero w ostatniej dwudziestce 2 rzutki boczne, takie, jakich normalnie nigdy nie pudłuje, a chybił prawdopodobnie dlatego, że wiedział o swoich szansach na najlepszy wynik dnia i w refleksach nastąpiło „krótkie spięcie".

Również nie brak jednolitego kierownictwa treningowego, które nie jest niezbędne, ani nawet pożądane, przyczynił się do przegranej, gdyż, jak to wspomniałem wyżej, trening musi być ściśle indywidualny.

Nie odmienne, choć łatwiejsze, niż domowe, warunki strzelania, ale brak opanowania nerwów, świadomość walki z najprzedniejszemi strzelbami Europy, poczucie odpowiedzialności za barwy narodowe, spowodowały klęskę, która niewątpliwie nieraz się jeszcze powtórzy, ale która również niewątpliwie doprowadzi do zwycięstwa, bo przegrywając, uczymy się zwyciężać.

Miło mi tutaj potwierdzić za Szanownym Panem Baranowskim wysoką klasę organizacji zawodów w Helsinkach, wielkie sportowe zacięcie, bezstronność sędziów i niezwykłą serdeczność przyjęcia. Nasi gospodarze przesadzali się w uprzejmości i zabiegliwości, aby nam pobyt uprzyjemnić i umożliwić poznanie „Krainy 10.000 wysp" z najlepszej strony, za co się im wszystkim, a szczególnie p.p. prezesowi Fabriciuszowi i pułkownikowi von Prüssingowi, należy serdeczne podziękowanie.

A teraz dla całokształtu obrazu trochę o broni i amunicji. Widzimy parę automatów Browninga, ale przeważają dubeltówki i boki, używane chyba w równej mierze. Dużo broni niemieckiej, potem belgijskiej, najmniej angielskiej. Amunicja czołowa wszystkich krajów. Anglicy, Finnowie, Niemcy i Norwedzy strzelają czarnemi Rottweilerami, Rumun p. Popescu — Warszawską Spółką, Stroici — Rottweilerami, Francuzi — Rottweilerami lub belgijskiemi nabojami „Legia-Star", my zaś nabojami Pocisku i Warszawskiej Spółki Myśliwskiej. Niech wolno mi będzie na tem miejscu w imieniu nas wszystkich podziękować Kierownictwom tych fabryk, które nietylko zupełnie bezinteresownie ofiarowały nam amunicję, ale nawet posunęły swoją uprzejmość tak daleko, że zajęły się dostarczeniem nabojów loco Helsinki, biorąc na siebie kłopoty i koszty formalności celnych i transportowych.

Tutaj krótkie wyjaśnienie. Jeżeli strzelałem na treningu poczęści nabojami fińskiemi, to z prostej ciekawości, a nie dlatego, żeby mi miało brakować nabojów W.S.M. Najlepszy dowód, że zapotrzebowanie na amunicję obliczyłem suto, skoro mogłem część swojego zapasu ustąpić p. Popescu, który dopiero w Helsinkach zdecydował się strzelać Warszawską Spółką. Moje zainteresowanie balistyką wogóle, a nabojem śrutowym w szczególności, są naszym fabrykom dobrze znane, gdyż robię dużo doświadczeń porównawczych i wynikami nieraz się z niemi dzielę w niepłonnej nadziei, że tym sposobem klasa rodzimej amunicji się podniesie.

Nie mogę zakończyć tych moich przydługich wywodów bez wyrażenia podziękowania p. kapitanowi Maciejewskiemu ze Związku Strzeleckiego, który swoją uczynnością, życzliwością i niemałym nakładem pracy znakomicie się przyczynił do ułatwienia nam wyjazdu.

STANISŁAW ROSENWERTH

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na II półrocze, III kwartał, lub na miesiąc lipiec.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. **Administracja.**

Z IV OGÓLNOPOLSKICH ZAWODÓW PIONEK W STRZELANIU DO RZUTKÓW

Tegoroczne, czwarte z kolei Ogólnopolskie Zawody w strzelaniu do rzutków, urządzone przez Pionki w dn. 5 i 6 b. m. na standzie w Szczęśliwicach pod Warszawą, przyniosły pod wieloma względami poważne dla rozwoju tego sportu sukcesy.

Przedewszystkiem okazało się, że liczba zapisanych zawodników wzrosła od ostatniego roku podwójnie, przekraczając znacznie spodziewaną przez organizatorów frekwencję, a określaną liczbą 100. Zapisy objęły 146 zawodników, z których ostatecznie na zawody zgłosiło się 121. W porównaniu z liczbą strzelających w roku ubiegłym na zawodach Pionek cyfra ta jest o 70% wyższą. Ten stan zainteresowania strzelaniem standowym do rzutków, z jednej strony, jako osobnym działem sportu strzeleckiego, z drugiej — jako zaprawą do strzelania myśliwskiego do ptactwa, wskazuje, że coraz liczniejsze koła myśliwych oceniają strzelanie do rzutków, jako bezwarunkowo pożyteczne, zadowalające ambicje sportowe i przynoszące duże korzyści praktyczne.

Stwierdzenie tej opinji coraz szerszych kół myśliwskich jeszcze wyraźniej ilustrują z roku na rok w szybkiem tempie mnożące się imprezy tego rodzaju w miastach wojewódzkich i powiatowych w całym kraju, gdzie organizowane są zawody przez miejscowe towarzystwa myśliwskie.

Państwowa Wytwórnia Prochu Pionki zarówno swemi dorocznemi zawodami, urządzanemi stale dla 2-ch klas: A i B, jak zwłaszcza pobudzaniem prowincjonalnych organizacyj myśliwskich do urządzania zawodów regjonalnych, przez wypożyczanie, a nawet ofiarowywanie wyrzutni i rzutków, wpływa w kierunku rozwoju sportu rzutkowego planowo i wydatnie, przyczyniając się tą drogą do coraz bardziej ocenianego usprawniania strzelectwa myśliwskiego.

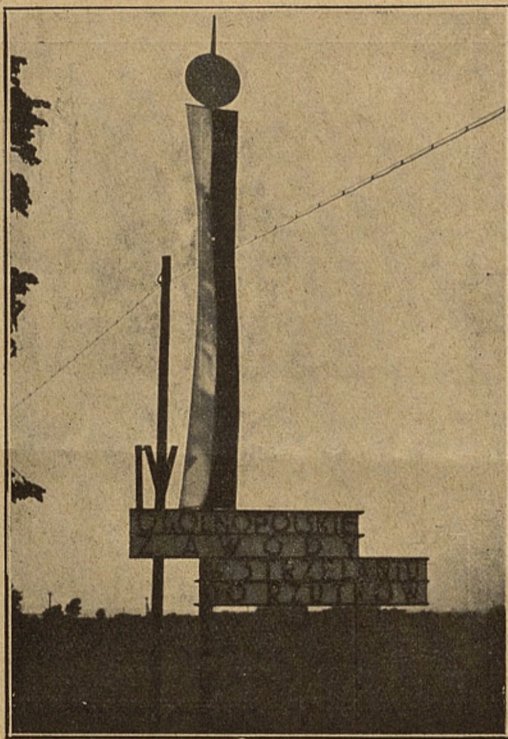
Jeśli tegoroczne zawody Pionek zgromadziły ze wszystkich dzielnic Polski aż 120 zawodników, jasny z tego wniosek, że w przygotowaniach regjonalnych i eliminacjach najlepszych strzelb do zawodów, musiała brać udział w ostatnich czasach przynajmniej pięciokrotna liczba wprawiających się w tym sporcie. Dowodzi tego również i to także, że z roku na rok na Ogólnopolskie Zawody Pionek przybywa coraz więcej nieznanych dotąd nazwisk, wśród których dają się poznać coraz nowe, wybitne talenty strzeleckie.

To też zupełnie sprawiedliwem będzie przyznanie Pionkom tej poważnej zasługi, jaką jest dbałość o przyszłość myśliwskiego strzelectwa rzutkowego, zaliczonego do sportowych konkurencyj międzynarodowych, Pionki bowiem, trzeba to podkreślić wyraźnie, realizując swój program propagandowy w tym kierunku, w nowych talentach strzeleckich pobudzają ambicję, która, dzięki własnym wysiłkom i staraniom nowych adeptów, doprowadza ich już dzisiaj do konkurencji Zawodów Narodowych, z czasem mogąc doprowadzić również na strzelania międzynarodowe. Jest to moment wyraźnie ważny, bowiem im liczniejsze będą szeregi naszych czołowych zawodników rzutkowych, tem owocniejszy stanie się wybór ekipy polskiej, wybieranej na zawody międzynarodowe. Nie trzeba też zapominać, że wśród dzisiejszych naszych czołowych zawodników są między innymi strzelcy starsi, których niełatwo byłoby zastąpić bez długoletniego w tym kierunku przygotowania, w momencie ich odsunięcia się od konkursów i od standu wogóle.

Organizacja Zawodów Pionek stała w całem tego słowa znaczeniu na wysokości zadania. Zawodnicy, którzy niejednokrotnie brali udział w zawodach międzynarodowych, stwierdzili, że organizatorzy tych ostatnich mogliby wiele nauczyć się w dniu 5 i 6 marca r. b. w Szczęśliwicach, jak winny być urządzane zawody na wielką skalę.

Organizacja zawodów spoczywała w wypróbowanych rękach P. Dyr. Jana Macieja Bolda, który, trzeba to stwierdzić wyraźnie, jest zdecydowanym zwolennikiem i pionierem sportu rzutkowego, oraz P. Teodora Piekarskiego, Prokurenta P. W. P. Pod ich kierownictwem przez szereg dni pracował nad przygotowaniem zawodów, a później nad sprawnem wykonaniem programu, cały szereg pracowników Pionek, zastępujących głównych gospodarzy i prześcigających się w okazywaniu gościnności i uprzejmości wszystkim zawodnikom i gościom.

Również słowa uznania należą się Komisji Sędziowskiej, która dosłownie „w pocie czoła" rzetelnie sprawowała swe funkcje przez 2 dni, od wczesnego rana do wieczora. Dodać należy, że organizatorzy zawodów, wobec nadspodziewanego napływu zapisów, zmuszeni byli czas strzelania rozszerzyć na sobotę dn. 4 b. m., w którym to dniu odstrzelało po 100 rzutków 30 zawodników.



U wejścia na zawody.

Kto śledzi corocznie wyniki ważniejszych zawodów w strzelaniu do rzutków, ten snadnie zauważył, że w kolejności zajmowania miejsc, nawet przez naszych czołowych zawodników, następują różne przegrupowania, które oczywiście są skutkiem formy fizycznej, osiągniętej przez bardziej lub mniej dokładnie przeprowadzony trening, lecz nadewszystko stanu psychicznego, a więc „refleksów", lub inaczej mówiąc nastrojów i wreszcie pewnej dozy szczęścia — jak wyraża się o najważniejszych elementach, działających na zawodnika na konkursach, senior naszego strzelectwa standowego, Stanisław bar. Rosenwerth (artykuł o zawodach w Helsinkach na str. 371 niniejszego numeru „Ł. P.").

Wyniki w klasie „A".

I. —	p. Ziegenhirte Wilhelm	pkt.	97/100
II. —	„ Obutelewicz Tadeusz	„	95
III. —	„ Rosenwerth Stanisław	„	91
IV. —	„ Sztukowski Stefan	„	91
V. —	„ Czerski Stanisław, senior	„	91
VI. —	„ Barański Tadeusz	„	91
VII. —	„ Feill Jerzy	„	88
VIII. —	„ Koschembahr-Łyskowski Konstanty	„	87
IX. —	„ Kitzman Karol	„	86
X. —	„ Czerski Stanisław, junior	„	85
XI. —	„ Błąk Włodzimierz	„	85
XII. —	„ Tobola Kazimierz	„	84

Wyniki w klasie „B".

I. —	p. Feill Roman	pkt.	89/100
II. —	„ Pakowski Teodor	„	83
III. —	„ Klawe Roman	„	79
IV. —	„ Bojanowski Andrzej	„	78
V. —	„ Kołaczkowski Wojciech	„	78
VI. —	„ Radziwiłł Karol	„	76
VII. —	„ Skoczewski Leonard	„	75
VIII. —	„ Lenc Otton	„	73
IX. —	„ Messing Henryk	„	72
X. —	„ Mianowski Józef	„	72
XI. —	„ Sulewski Tadeusz	„	71
XII. —	„ Michalski Wojciech	„	71
XIII. —	„ Jaźwiński Zygmunt	„	71
XIV. —	„ Czapliński Ryszard	„	70
XV. —	„ Jaźwiński Tadeusz	„	70
XVI. —	„ Szuman Jerzy	„	70
XVII. —	„ Makomaski Antoni	„	70



Od lewej: Tadeusz Obutelewicz, Wilhelm Ziegenhirte i Stanisław bar. Rosenwerth.

Wyniki zespołów.

				pkt.
I	„Łowiec" Wlkp. Poznań	1. Feill Roman	89	
		2. Feill Jerzy	88	262/300
		3. Bląk Włodzimierz	85	
II	„Jeleń" Warszawa	1. Klawe Roman	79	
		2. Ziegenhierte W.	97	262
		3. Kitzman Karol	86	
III	„Sokół" Pionki	1. Tobola Kazim.	84	
		2. Bojanowski Andrz.	78	257
		3. Obutelewicz T.	95	
IV	„Orlęta" Dęblin	1. Kołaczkowski Woj.	78	
		2. Gołębiowski T.	61	200
		3. Skalski Miecz.	61	
V	Polski Zw. Strzel. Sport — Lwów	1. Sulewski	71	
		2. Makomaski	70	198
		3. Rylski Jerzy	57	
VI	Radzyńskie T-wo Łowieckie	1. Jaźwiński Zygm.	71	
		2. „ Konst.	56	197
		3. „ Tad.	70	
VII	Małopolskie T-wo Łowieckie	1. Barański Tad.	71	
		2. Ratyński Romuald	46	195
		3. Popescu	58	
VIII	Kółko Myśliwskie Brześć n/Bugiem	1. Wyszczółkowski W.	63	
		2. Zalewski Aleks.	62	185
		3. Szeluczko Aleks.	60	
IX	T-wo Łowieckie Urz. Banku Handl.	1. Dorosiewicz Wł.	61	
		2. Fijałkowski St.	61	180
		3. Jaegert Antoni	58	
X	„Celuloza" Niedomice	1. Maciejarz Aleks.	52	
		2. Rousseau Stefan	48	172
		3. Wojciechowski W.	72	
XI	Koło Łowieckie Pr. Banku Rolnego	1. Wyka Marjan	50	
		2. Markiewicz Janusz	66	162
		3. Dotner Jerzy	46	
XII	W.K.S. Ikar — Kraków	1. Grodzki Alfred	43	
		2. Morawa Edward	26	104
		3. Fernga Józef	25	

Biorąc pod szkło wnikliwego obserwatora wyniki klasy „A", nasuwa się cały szereg uwag na temat nowego przegrupowania w kolejności miejsc. Nie będąc „przysięgłym" fachowcem tego sportu, powstrzymuję się od wypowiedzenia moich poglądów w stosunku do poszczególnych zawodników, nie chcąc jednych urazić, drugich nadto sugestjonować w ambicjach na przyszłość, mimo to jednak zaznaczyć muszę, co wszyscy bywalcy standowi musieli niewątpliwie zauważyć, że P. Wilhelm Ziegenhirte idzie przebojem, z roku na rok poprawiając swe wyniki, że strzela w pełnem skupieniu i opanowaniu, że posiada widać tę „siłę woli", o której w swoim wysoce fachowym artykule mówi St. bar. Rosenwerth.

Wyraźną niespodziankę zrobił P. Tadeusz Obutelewicz (Pionki), który, jakkolwiek od kilku lat szedł ciągle naprzód, na zawodach tegorocznych zrobił znaczniejszy skok w górę, zajmując drugie miejsce przy 5-ciu zaledwie pudłach.

Przeglądając nagrodzonych w klasie B, widzimy też bardzo znaczne postępy, zwłaszcza u niektórych zawodników. Dość powiedzieć, że aż 13-tu pierwszych kolejno nagrodzonych zakwalifikowało się na przyszłość do klasy A, znacznie powiększając jej szeregi. Wśród nich widzimy szereg młodych zawodników, jak PP.: Tadeusz Sulewski, Leonard Skoczewski, por. Wojciech Kołaczkowski, Karol ks. Radziwiłł. Wybitnemi talentami zdają się być obaj bracia Jerzy i Roman Feillowie, z których pierwszy zajął VII miejsce w klasie A, drugi I — w klasie B z wynikiem o 1 talerzyk lepszym od brata.

Do nowowprowadzonej konkurencji zespołów stanęło 12 trójek, przedstawicieli towarzystw łowieckich z całego kraju. Tablica wyników tych ostatnich niezwykle jest pouczająca, jeśli uważnie porównywać osiągnięte punkty zespołowo i indywidualnie. Nagrody zdobyło tylko 6 pierwszych miejsc, przyczem różnice osiągniętych punktów wybitnie zaczynają się uwydatniać, począwszy od IV miejsca. Niewątpliwie odegrał tu najważniejszą rolę stopień wytrenowania poszczególnych zawodników.

Należy podkreślić, że na ostatnich zawodach Pionek wśród wielu nowych zawodników widzieliśmy szereg przedstawicieli pułków lotniczych, a mianowicie: z Dęblina z W. K. S. „Orlęta" i z Krakowa z W. K. S. „Ikar". Uczestnictwo tych ostatnich zawodników przypisać należy programowi szkolnemu w zakresie strzelectwa dla lotników, w którym przewidziane jest obowiązkowe strzelanie do rzutków, mające związek z chwytaniem celu przy strzelaniu z karabinów z samolotów.

Na opisanych zawodach, jak wiadomo, występował wyłącznie nabój elaboracji Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, przygotowany z prochu P. W. P. Pionki i zaopatrzony (po raz pierwszy na publicznych zawodach) w krajową spłonkę Wytwórni „Lignoza" S. A.

Z przyjemnością należy stwierdzić, że na 21.000 strzałów nie stwierdzono ani jednego defektu amunicji, a więc zaciągów, albo niewypałów.

Przez pawilon standu przesunęło się przez 2 dni świąteczne strzelania kilkuset widzów, korzystających szczęśliwie z bardzo pięknej pogody, która i zawodnikom pomogła w osiągniętych rezultatach. Nastrój na „widowni" odznaczał się wybitnem zainteresowaniem zawodami i humor gościł stale w gronie obserwującem strzelanie.

Na samym standzie, przy tak dużej frekwencji zawodników, nie obeszło się bez momentów „dramatycznych" i... humorystycznych. Jeden z zawodników, widać w zdenerwowaniu, zamiast do rzutka, strzelił w trawę przed stanowiskami, a na zwróconą mu uwagę przez sędziego drugi strzał umieścił w betonie, pokrywającym maszyny. Oczywiście wycofano go z zawodów. Ktoś drugi włożył w pewnej chwili do luf dwunastki amunicję do szestnastki i, gdyby nie uwaga sąsiada, byłby w poważnym kłopocie po strzale. Wreszcie w pewnym momencie dwóch sąsiadujących zawodników wystrzeliło równocześnie do jednego rzutka, rozbijając go w puch. Sędzia zawodnikowi, który powinien był strzelać, kazał rzutek powtórzyć, ten drugi rzutek jednak został przez niego spudłowany...

Rozdanie nagród odbyło się 6-go b. m. w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego. Wręczenia nagród zwycięzcom indywidualnym i zespołom dokonały Panie: Dyrektorowa Marja Boldowa i Feillowa, matka braci Feillów, zawodników z Poz-

nania. Wstępne przemówienie wygłosił Naczelny Dyrektor P. W. P., Dr. Inż. Jan Prot, podkreślając, że propaganda P. W. P. w kierunku popularyzowania sportu myśliwsko - strzeleckiego nie jest bynajmniej reklamą handlową, gdyż koszty urządzanych corocznie przez Pionki zawodów, łącznie z materjalnem popieraniem zawodów regjonalnych (fundowane nagrody, rzutnie i talerzyki) w żadnej mierze nie zostają pokryte z obrotów handlowych. Istotnie tak jest, bowiem trzeba sobie wyobrazić, jak wielu stale trenujących się zawodników musiałoby to robić nabojami z prochem Pionek, ażeby zysk na sprzedanym w ten sposób prochu do amunicji wystrzelonej na treningach, pokrył z nadwyżką ciężkie tysiące, wydawane hojną ręką przez Pionki na propagandę tego sportu.

W odpowiedzi na przemówienie Dyrektora Prota, P. Janusz Regulski, Prezes Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego P. Z. Ł., podkreślił niezaprzeczone zasługi P. W. P. Pionki w rozwoju sportu myśliwsko - strzeleckiego i gratulował sukcesu, jakim było zgromadzenie w tym roku aż 120 zawodników.

Po rozdaniu nagród odbyła się w lokalu klubowym w serdecznym nastroju wspólna biesiada, przeplatana licznemi przemówieniami i toastami.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

STATYSTYKA ŁOWIECKA

Zgodnie z zarządzeniem naczelnych władz łowieckich P. Z. Ł., powiatowe i wojewódzkie organy łowieckie zajęte są obecnie sporządzaniem danych statystycznych, które mają zobrazować stan posiadania łowiectwa polskiego i uwydatnić jego znaczenie gospodarcze.

Poszczególne formularze statystyczne obejmują: gospodarkę łowiecką, zwalczanie kłusownictwa, ochronę zwierzostanu, wyniki polowań, a także wydatki myśliwych, związane z wykonywaniem polowania, zakupem sprzętu myśliwskiego, odzieży psów i t. d., wreszcie stan osobowy członków P. Z. Ł., ilość wykupionych kart łowieckich, ewidencja stowarzyszeń łowieckich i obwodów łowieckich dopełniają całokształtu i tworzą obraz stosunków łowieckich na obszarze naszego Państwa.

Formularz wykazu stanu osobowego członków P. Z. Ł., jako zawierający wyłącznie liczbę ogólną członków Związku, z podziałem tylko na członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, ułożony według powiatów i województw, mojem zdaniem, ujmuje tę sprawę zbyt ogólnikowo. Liczby ogólne, o ile chodzi o obszar całego Państwa, będą same przez się bardzo ciekawe, nie odzwierciadlają nam jednak obecnego stanu organizacyjnego Związku po dokonanej reorganizacji, ani, co jest jeszcze bardziej interesujące, nie przedstawią obrazu, jaki udział w pracach Związku biorą myśliwi z poszczególnych sfer naszego społeczeństwa.

Zdaniem mojem, ten dział statystyki należałoby nieco rozszerzyć.

Poniżej zamieszczam tablicę*), która przedstawia, jak życie organizacyjne Związku kształtowało się w roku ubiegłym na terenie wojwództwa lubelskiego.

Rozszerzona w ten sposób tablica w/w dałaby nam pełny obraz struktury organizacyjnej Związku w poszczególnych województwach, a także i w Państwie. Tablica taka, sporządzana w identyczny sposób corocznie, z uwzględnieniem zmian, jakieby zaszły w okresie sprawozdawczym, byłaby cennym materjałem dla statystyków do odtworzenia postępu organizacyjnego Związku. Mniemam także, że ogłaszana rokrocznie w „Łowcu Polskim" byłaby bodźcem dla naszych organizacyj łowieckich do bardziej intensywnej działalności organizacyjnej, niż to ma miejsce dotychczas. Pozatem wzbudziłaby zapewne głębsze zainteresowanie sprawami organizacyjnemi i łowieckiemi wśród szerokich rzesz społeczeństwa myśliwskiego, a może i naszych władz państwowych, a także i tych wszystkich, którzy nie doceniają znaczenia łowiectwa dla organizmu państwowego.

Nie roszczę bynajmniej pretensji, aby projekt mój uznany był za wyczerpujący zagadnienie ujęcia w cyfry naszego zbiorowego życia myśliwskiego, pragnąłbym tylko zainteresować tą sprawą tak nasze władze łowieckie: — naczelne, wojewódzkie i powiatowe, jak i fachowców w tej dziedzinie, i wywołać na łamach „Łowca Polskiego" wymianę zdań na temat, przeze mnie poruszony, w celu wypowiedzenia się, czy rozszerzenie ram statystyki łowieckiej w projektowanej przeze mnie, bądź zmienionej formie, byłoby celowem?

LEON RADLIŃSKI
Członek Wojewódzkiej Rady
Łowieckiej w Lublinie.

*) Tablica na str. 376.

ROZMAITOŚCI

ZABICIE NIEDŹWIADKA.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Białowieży została powiadomiona przez n-ctwo państwowe Starzyna, iż w dn. 3.VI. r. b. rano jeden z niedźwiadków (samica), wypuszczonych na terenie Parku Narodowego w Białowieży, został w bestjalski sposób zabity przez mieszkańców wsi Gabryel, Smolatyn i Klatkowo, na terenach łąkowych wsi Omeleniec, gm. Wierzchowice, powiat Brześć, w odległości 3 km od lasów n-ctwa Starzyna i 1 km od lasów n-ctwa Bielsk Podlaski (DLP. w Siedlcach).

Włościanie zobaczyli na polu niewinnie przechadzającego się niedźwiadka i zaczęli gonić go z psami, uzbrojeni w koły i siekiery. Niedźwiedź uciekł do lasu, gdzie go dogonili i okaleczyli siekierą (w lewą przednią łapę). Wtedy zwierz, uciekając z lasu, natknął się na stado owiec i przypadkowo, w stanie oszołomienia i podrażnienia, zabił jagnię, które mu się nawinęło po drodze. Włościanie otoczyli niedźwiadka na łąkach wsi Omeleniec i po wpędzeniu go do rzeki zupełnie zmasakrowali. Niedźwiadek, jak wykazała sekcja, był zgoniony do ostateczności, o czem świadczy nadzwyczaj szybki rozkład miąższowych organów wewnętrznych i przekrwienie jelit, nie zawierających zupełnie treści (z powodu „niedźwiedziej choroby", t. j. gwałtownego wypróżnienia). Czaszka zwierzęcia została zmiażdżona uderzeniami kołów.

Włościanie uzasadniają swój barbarzyński postępek rzekomą koniecznością obrony młodocianego pastucha przed zwierzem, który atoli, jak wiadomo, odznaczał się łagodnością i przyjaznym stosunkiem do ludzi.

Zaznaczyć trzeba, iż ludność wiosek białowieskich odnosi się do niedźwiadków z wyraźną sympatją i nawet podkarmia niektóre, bardziej śmiałe, co nie jest bynajmniej pożądane, gdyż mija się z celem wyhodowania w puszczy zupełnie dzikich niedźwiedzi. Administracja Lasów Państwowych ze swej strony uczyniła wszystko, co było w jej mocy, aby zabezpieczyć niedźwiadki przed tego rodzaju wypadkami. Od chwili wypuszczenia wszystkie 4 sztuki były pilnowane i obserwowane przez tutejszy personel, który nadsyłał ciągłe telefoniczne raporty o miejscach przebywania pupilów i o ich zachowywaniu się. Przedewszystkiem zaś Dyrekcja Lasów Państwowych w Białowieży spowodowała wydanie zarządzeń przez Starostów Powiatowych, polecających sołtysom uświadomić ludność co do surowego zakazu chwytania i uszkadzania, a tembardziej zabijania, wypuszczonych w celach regeneracyjnych niedźwiadków. (Ma to być jedna z prób dokonywanych przez Administrację lasów państwowych).

Zabójcy małej niedźwiedzicy powinni być dla przykładu jaknajsurowiej ukarani w celu zapobieżenia dalszym barbarzyńskim wyczynom, które zniweczyłyby całą akcję regeneracji niedźwiedzia w Puszczy Białowieskiej, narażając przytem Skarb Państwa na znaczne straty pieniężne.

Straty moralne, jakie ponieśliby ci, którzy ofiarnie, nie szczędząc wysiłków, prowadzą tę trudną akcję, nie dadzą się nawet określić.

W. L.

JUBILEUSZ POLSKIEGO T-WA ŁOWIECKIEGO W ZŁOCZOWIE.

Dnia 26 czerwca obchodzi Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie — jedno z najstarszych zrzeszeń łowieckich w Polsce — 50-lecie swego istnienia.

Chcąc uczcić godnie tę rocznicę urządza Komitet w dniu tym premjowe strzelanie myśliwskie oraz wystawę trofeów łowieckich, zdobytych na Ziemi Złoczowskiej wzgl. przez członków tego zrzeszenia.

Nr. porządkowy	Powiat	Obwodów łowieckich: Własnych	Obwodów łowieckich: Wspólnych	Posiadaczy kart łowieckich	Stowarzyszeń łowieck.: Liczba ogólna *)	Stowarzyszeń łowieck.: w tem związkowych	Rada Wojewódzka: Prezes	Rada Wojewódzka: Wice-Prezesi	Rada Wojewódzka: Członkowie Rady	Rada Powiatowa: Łowczyowie	Rada Powiatowa: Podłowczowie	Rada Powiatowa: Członkowie Rady	Delegaci na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie	Komisja Rewizyjna: Członkowie	Komisja Rewizyjna: Zastępcy	Sąd Łowiecki: Przewodniczący	Sąd Łowiecki: Członkowie	Duchowieństwo	Rolnictwo: Ziemianie	Rolnictwo: Drobni rolnicy	Wojskowi: Oficerowie	Wojskowi: Podoficerowie	Urzędnicy: Państwowi	Urzędnicy: Samorządowi	Urzędnicy: Prywatni	Sądownictwo	Notarjat i hipoteka	Nauczycielstwo	Leśnictwo	Przemysłowcy	Kupcy	Rzemieślnicy	Wolne zawody: Adwokatura	Wolne zawody: Inżynierja	Wolne zawody: Miernictwo	Wolne zawody: Technicy	Wolne zawody: Lekarze: Medycyny	Wolne zawody: Lekarze: Weteryn.	Wolne zawody: Lekarze: Dentyści	Wolne zawody: Aptekarze	Policja Państwowa: Oficerowie	Policja Państwowa: Podoficerowie	Inne zawody	Razem członków: Zwyczajnych	Razem członków: Nadzwyczajnych	Łącznie	% w stosunku do posiadaczy kart łowieckich
																			Członkowie zwyczajni według zawodów																												
1	Biała Podlaska	25	39	80	—	—	—	—	—	1	4	5	1	—	—	—	1	1	16	16	1	—	10	5	2	—	—	3	8	1	1		—	—	1	—	1	1	—	—	—	—	1	71	2	73	
2	Biłgoraj	10	58	68	—	—	—	—	—	1	2	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	
3	Chełm Lubelski	14	37	95	—	2	—	—	—	1	8	5	1	—	—	—	—	—	7	—	12	7	5	—	1	1	—	1	2	1	—	2	—	1	—	1	3	—	—	—	—	—	—	44	2	46	
4	Garwolin	32	96	129	—	—	—	—	—	1	18	3	2	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	2	—	2	
5	Hrubieszów	16	49	65	—	—	—	—	1	1	3	5	1	—	—	—	—	—	22	—	1	—	1	—	3	—	—	1	1	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	30	—	30	
6	Janów Lubelski	12	193	214	—	—	—	—	1	1	9	3	1	—	—	—	—	—	15	—	1	—	4	—	1	—	—	—	9	2	1	—	1	1	—	—	—	—	—	1	—	—	3	39	2	41	
7	Krasnystaw	28	170	198	—	—	—	—	—	1	2	3	1	—	—	—	—	—	12	—	—	—	1	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	1	1	—	—	—	—	—	—	—	—	16	—	16	
8	Lublin	17	137	208	—	—	1	—	—	1	6	3	1	—	—	—	—	1	15	2	—	—	1	1	—	—	—	—	3	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	24	—	24	
9	m. Lublin	—	—	184	—	5	—	1	3	1	7	5	1	3	2	1	2	—	2	1	10	—	22	3	11	3	1	1	—	4	4	5	5	5	1	1	3	—	—	1	—	—	5	88	1	89	
10	Lubartów	27	70	97	—	—	—	—	—	1	5	3	1	—	—	—	—	1	7	—	—	—	—	—	3	—	—	—	2	—	1	—	—	—	—	—	—	1	—	2	—	—	—	17	4	21	
11	Łuków	21	137	158	—	—	—	—	—	1	3	—	—	—	—	—	—	1	4	—	1	—	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	7	2	9	
12	Puławy	30	154	184	—	—	—	—	—	1	5	5	1	—	—	—	—	—	8	—	8	—	8	—	—	1	1	1	2	4	2	2	1	1	—	—	4	—	1	1	—	—	—	45	39	84	
13	Radzyń Podl.	41	44	85	—	—	—	—	1	1	7	5	1	—	—	—	1	—	14	—	—	—	2	—	2	—	1	1	2	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	23	3	26	
14	Siedlce	37	145	182	—	—	—	—	1	1	2	5	2	—	—	—	1	—	12	8	5	7	21	3	7	—	4	6	2	3	3	2	1	1	—	—	1	1	1	1	—	1	3	93	1	94	
15	Sokołów Podl.	40	51	91	—	—	—	—	1	1	4	5	—	—	—	—	—	—	10	—	—	—	1	2	1	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	—	—	16	—	16	
16	Tomaszów Lub.	36	79	115	—	—	—	1	—	1	6	3	1	—	—	—	1	1	10	1	1	—	1	2	3	1	—	1	1	—	1	—	1	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	25	—	25	
17	Węgrów	39	83	122	—	—	—	—	—	1	5	3	1	—	—	—	—	—	9	1	—	—	1	3	8	—	2	—	5	1	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	32	5	37	
18	Włodawa	11	50	61	—	—	—	—	1	1	2	—	—	—	—	—	—	—	2	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	4	—	4	
19	Zamość	68	84	152	—	—	—	—	1	1	6	5	1	—	—	—	—	—	7	—	3	—	5	—	1	—	—	1	4	1	1	—	—	—	1	—	—	1	—	1	—	—	—	26	9	35	
	Razem	558	1676	2488	—	7	1	2	10	19	104	66	17	3	2	1	6	5	172	30	43	14	83	19	43	6	10	16	44	18	17	14	9	10	4	2	13	4	2	8	1	1	14	602	79	681	27,03%

*) brak danych

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Nakładem Ligi Morskiej i Kolonjalnej w Warszawie ukazała się praca Kazimierza Warchałowskiego p. t. *„Na wodach Amazonki"*. Stron 175.

Kazimierz Warchałowski jest podróżnikiem, który zwiedzał przez kilkanaście lat Południową Amerykę. Nic więc dziwnego, że praca jego ma poważny charakter, częściowo nawet naukowy. Jeśli chodzi o opisy przyrody, to autor w tej swojej pracy kładzie na to specjalny nacisk. Dlatego też „Na wodach Amazonki", choć nosi charakter orjentacyjny, niemniej zaciekawi i myśliwego. Wszak przyroda Ameryki Południowej jest jeszcze tak niedokładnie zbadana, że przedstawia niezmiernie ciekawy objekt dla badań przyrodnika.

Warchałowski pisze prosto, nie stosując specjalnie wyszukanego stylu, opisuje barwnie to co widział, bez blagi, dlatego książki jego mają dużą wartość.

*

Jeszcze w ubiegłym roku Wydawnictwo J. Mortkowicza w Warszawie wydało inną pracę tegoż autora p. t. *„Na krokodylim szlaku"*. Stron 293.

Jest to powieść egzotyczna dla młodzieży. Oczywiście terenem, na którym rozgrywa się akcja, jest Ameryka Południowa. Odzywa się w tej pracy i nuta patrjotyzmu, ale tak ujętego, że pomimo, iż książka nosi charakter raczej przyrodniczy, nie razi on, jak to nieraz ma miejsce u innych autorów.



Czaple królewskie, dające egrety.

„Na krokodylim szlaku" — to opis przygód pewnej Angielki, której towarzyszy Staś — syn emigranta polskiego. Niesłychane przygody, jakie przeżyli oni w czasie swego przymusowego pobytu w puszczy południowo - amerykańskiej, są opisane z werwą, a przedewszystkiem z wielkiem znawstwem przyrody egzotycznej.

Mnie osobiście rażą końcowe ustępy książki. Opisane w nich są walki z Indjanami. Napadają oni na obóz rozbitków i padają gęsto od strzałów Stasia. Nie wiem, może to specjalnie moje uczucia dla wolnych synów prerji — Indjan, sprawiają to, że ile razy czytam o „bohaterskich" walkach białych z Indjanami, budzą one we mnie niesmak. Biały człowiek w swej



„Urugupi Branicki", gryzoń ze wschodnich stoków Andów, odkryty przez polskiego uczonego, Jelskiego.

nieposkromionej żądzy zdobywania świata zabija czerwonoskórego, odbiera mu ziemię, zamyka w rezerwatach. Może razi mnie to i jako Polaka. Wszak właśnie my powinniśmy najlepiej rozumieć, czem jest utrata wolności.

Niemniej książka Warchałowskiego jest dobra, warto ją polecić do przeczytania naszym młodym, przyszłym myśliwym. Rozbudza ona chęć poznania dalekiego świata, nie dla poszukiwania awantur, lecz dla poznawania cudów natury.

M. MNISZEK TCHORZNICKI

Wystawa fotografji przyrodniczej i myśliwskiej Włodzimierza Puchalskiego w Poznaniu

Dnia 4-go czerwca r. b. otworzył P. Wojewoda Poznański Maruszewski wystawę fotografji przyrodniczej i myśliwskiej Włodzimierza Puchalskiego, zorganizowaną przez wydawnictwo „Myśliwego", poznańskiego pisma łowieckiego. Wystawa ta, która ma potrwać do 29 b. m., obejmuje tylko 280 najwybitniejszych prac, z braku bowiem odpowiedniego lokalu na jej pomieszczenie musiano z żalem odstąpić od pierwotnego zamiaru wystawienia 400 zdjęć.

Protektorat nad wystawą objęli PP. Wojewoda Poznański Maruszewski i Prezydent miasta Poznania inż. Ruge.

Co do walorów, jakie ta wystawa przedstawia, szkoda słów tracić — zanadto dobrze są one znane naszemu światu łowieckiemu, jeśli niezawsze z widzenia, to przynajmniej z opinji. Wystarczy przypomnieć, że na berlińskiej wystawie łowieckiej zdobyły prace p. Puchalskiego złoty medal, taksamo jak fotografje słynnego dzisiaj na cały świat Szweda, Bengt Berga.

Życzyć należy autorowi prac i inicjatorom wystawy, aby osiągnęła taką frekwencję, jak na to w całej pełni zasługuje.

S. M.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA KOMITETU WYKONAWCZEGO Z DNIA 3 CZERWCA 1938 R.

Przewodniczył P. Prof. Józef Gieysztor, obecni byli P.P.: Maurycy Hr. Potocki, Red. Walenty Garczyński, Inż. Herman Knothe, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Protokół posiedzenia Komitetu Wykonawczego z dnia 21 kwietnia r. b. zatwierdzono bez poprawek.

Nadesłany przez Lubelską Wojewódzką Radę Łowiecką, a opracowany przez Powiatową Radę Łowiecką w Zamościu — projekt programu egzaminu przy przyjmowaniu nowych członków do Związku postanowiono rozesłać w odbitce wszystkim członkom Komitetu Wykonawczego. Projekt ten omówiony będzie na następnem posiedzeniu, jako materjał do prac nad programem egzaminów, przewidzianym w § 8 statutu Związku.

Komitet Wykonawczy zatwierdził regulamin Komisji Propagandowej Związku. Regulamin ten dołączony został do niniejszego protokółu.

Zgodnie z postanowieniem § 7 regulaminu Kapituły Odznaczeń Łowieckich, Komitet Wykonawczy zaopinjował szereg nadesłanych wnjosków o nadanie odznaczeń.

Komitet Wykonawczy z uznaniem stwierdził, że Warszawska Wojewódzka Rada Łowiecka ujawnia żywotną i owocną działalność organizacyjną.

Poruszoną przez Warszawską Wojewódzką Radę Łowiecką kwestję wątpliwości co do interpretacji niektórych postanowień statutu Związku — przekazano P. Red. Garczyńskiemu z prośbą o opracowanie wyjaśnień.

Przyjęto do wiadomości wyniki uzupełniających wyborów do Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

Zaznajomiono się z treścią nadesłanych przez Wielkopolską Wojewódzką Radę Łowiecką komunikatów organizacyjnych Nr. Nr. 2 i 3 Oddziału Wielkopolskiego, uznając celowość tego rodzaju publikacyj.

Pismo Kieleckiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w sprawie trudności w ułożeniu budżetu — przekazano Skarbnikowi Związku, P. Kamieńskiemu z prośbą o opracowanie wyjaśnienia.

Nadesłany dotychczas przez Oddziały materjał w sprawie wykonywania polowania przez osoby, posiadające pozwolenia na broń, a nie posiadające kart łowieckich — przekazano P. Red. Garczyńskiemu.

Na wniosek P. Red. Garczyńskiego, Komitet Wykonawczy uchwalił podjąć akcję wydawniczą w zakresie fachowych prac łowieckich. Akcja ta prowadzona będzie w miarę zdobywania środków na ten cel. Pierwszem przewidzianem wydawnictwem będzie opracowana przez P. Inż. Tadeusza Śliwińskiego monografja jelenia.

P. Prof. Gieysztor zakomunikował, że ofiarowaną do jego dyspozycji przez P. Antoniego Baranowskiego kwotę zł. 175.— (honorarjum za publikacje w „Łowcu Polskim") — przeznacza na zapoczątkowanie funduszu wydawniczego.

NALEŻENIE PODOFICERÓW ZAWODOWYCH DO P. Z. Ł.

Z związku z napływającemi z terenu niektórych Oddziałów zapytaniami, czy podoficerowie zawodowi (w służbie czynnej) mają prawo należenia do Polskiego Związku Łowieckiego, otrzymaliśmy pismo wyjaśniające Szefa Biura Personalnego M. S. Wojsk., z dnia 4 czerwca r. b. Nr. 0300/I-2, które poniżej zamieszczamy:

Na Nr. 476—V/Og. Org. z dnia 24.V.1938 r.

Wyjaśniam, że na podstawie § 88 rozporządzenia Ministra Spraw Wojskowych z dnia 17.III 1937 r. w sprawie wykonania rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7.X.1932 r. o służbie wojskowej podoficerów i szeregowców (Dz. U. R. P. Nr. 89, poz. 747) podoficerom zawodowym wolno należeć do stowarzyszeń (związków), które zostały uznane przez Ministra Spraw Wojskowych za dozwolone dla żołnierzy.

Wobec tego, że zezwolono na należenie do Polskiego Związku Łowieckiego oficerom, również mogą należeć do tego Związku i podoficerowie zawodowi.

Szef Biura Personalnego
(—) CHILEWSKI, płk.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

POWIAT OSTROŁĘKA, WOJ. BIAŁYSTOK

Dnia 29.VI.1938 r. o g. 12-ej w sali Klubu Tow. przy ul. Mostowej Nr. 1 w Ostrołęce odbędzie się doroczne Walne Zgromadzenie Powiatowe i zjazd myśliwych powiatu ostrołęckiego z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie.
2) Wybór 2-ch asesorów.
3) Odczytanie protokółu poprzedniego zebrania.
4) Sprawozdanie Zarządu i Komisji rewizyjnej.
5) Ustalenie preliminarza budż. na rok nast.
6) Wybór Powiatowej Rady Łowieckiej.
7) Wolne wnioski.

IGNACY IGLIKOWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego: za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 12; za rok zł. 24;** miesięcznie **zł. 2.** Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł

Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.

Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

Myśliwi!

CAŁY NAKŁAD „KALENDARZA MYŚLIWSKIEGO" NA ROK 1938 ZOSTAŁ WYCZERPANY

w związku z tym prosimy Sz. Nabywców o **wcześniejsze** zamawianie kalendarza na rok przyszły

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy Świat 35, tel. 6.66-29.

NASTĘPUJĄCE DZIEŁA są do nabycia w Administracji i z ustępstwem 15% rabatu dla prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO":

1. **Bażant łowny** — C. Cronau . . . . zł. 3.—
2. **Blankiety rodowodów dla psów wszystkich ras** . . . . zł. 2.85
3. **Choroby zwierzyny łownej i sposób ich zwalczania**—Inż. Leona Martyńca . . . zł. 0.50
4. **Czy możliwe jest obecnie i jaką drogą odrodzić wymierającego żubra** d-ra K.Wróblewskiego zł. 4.60
5. **Dubeltówka śrutowa. Nabój. Strzelanie.** — H. Downar-Zapolskiego . . . . zł. 2.—
6. **Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju** — F. Rożyńskiego i d-ra E. Schechtla zł. 2.—
7. **Epizody myśliwskie w życiu Marszałka Józefa Piłsudskiego**—Wł. Kobylańskiego zł. 1.—
8. **Estetyka łowiectwa** — Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 2.—
9. **Sw. Eustachy** — Wł. Janty-Połczyńskiego . zł. 3.
10. **Głuszec** — Monografja. Bolesława Świętorzeckiego zł. 2.40
11. **Hodowca a myśliwy** Ernesta hr. Sylva Tarouca zł. 3.—
12. **Hodowla bażantów** — dyr. Henryka Kemmera zł. 3.—
13. **Humor i łacina myśliwska** J. Wł. Kobylańskiego zł. 1.50
14. **Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie**—J.Wł. Kobylańskiego zł. 3.—
15. **Jak unikać wypadków z bronią** — J. Sztolcmana . . . . zł. 0.25
16. **Kalendarz Myśliwski** — na 1931, 1932, 1933, 1935, 1936 i 1937 rok . . . . . . po zł. 2.—
17. **Kalendarz Myśliwski na rok 1938** (bez rabatu) zł. 3.—
18. **Krajobrazy i polowania w Polsce** — Pierre Coche'a w języku francuskim . . . . zł. 6.50
19. **Krótki praktyczny podręcznik tresury psa myśliwskiego** — K. Zarubina . . . zł. 2.—
20. **Lis** — Monografja Jerzego Dylewskiego . . zł. 3.—
21. **Łosie i łososie** — Matgarfa . . . zł. 7.—
22. **Łowiectwo** — Krawczyńskiego (bez rabatu) . zł. 4.—
23. **Myślistwo z ogary** — Jana hr. Ostroroga . zł. 1.50
24. **Myślistwo w Panu Tadeuszu** — M. Mniszka Tchorznickiego . . . . zł. 0.30
25. **Nad Nilem niebieskim** — Jana Sztolcmana . . zł. 6.—
26. **Nasze psy** — Stefana Błockiego. . . . zł. 7.—
27. **Nasze skrzydlate drapieżniki**—Monografja Wł. Gürtlera . . . . zł. 2.30
28. **Ocena trofeów myśliwskich**—Inż. H. Knothego drugie wydanie . . . . zł. 0.50
29. **O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie** — J. Wł. Kobylańskiego . . . zł. 1.50
30. **O łosiu** —J Wł. Kobylańskiego . . . zł. 2.—
31. **O wronie i walce z nią w łowisku** — L. Pac-Pomarnackiego . . . . zł. 1.—
32. **O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie Katowicach Krakowie i Lesznie** — J. Wł. Kobylańskiego . . . . zł. 1.—
33. **Porównawcze tablice broni kulowej europejskiej i amerykańskiej, oraz uwagi do nich** X. Borck Prek . . . zł. 0.50
34. **Polująca pani**—Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.50
35. **Próba uporządkowania bibljografji w odrodzonej Polsce** M. Mniszka-Tchorznickiego zł. 2.50
36. **Przepisy: O broni, amunicji i materjałach wybuchowych; łowieckie**—H. Maletza zł. 2.50
37. **Ramoty myśliwskie** Wł.Janty-Połczyńskiego zł. 3.—
38. **Szczęśliwe dni.** St. hr. Badeniego (bez rab.) zł. 10.—
39. **Tabelka do wyznaczania stanowisk przy udziale 6 — 27 myśliwych** . . . zł. 0.25
40. **Tablice ścienne** do określania ptaków drapieżnych i krukowatych — J. Sztolcmana. . . zł. 0.50
41. **Uwagi o polowaniu na jelenie podczas rykowiska. Na przesmyku**—Inż. T. Śliwińskiego zł. 1.—
42. **W cesarstwie Menelika** — Cz. Odrowąż-Pieniążka . . . . zł. 3.—
43. **W polu i w lesie**—Wł. Gürtlera . . zł. 1.—
44. **W stepach i puszczach** Wł. Czerniejewskiego zł. 1.—
45. **Wycenianie trofeów myśliwskich** A. Dyk'a zł. 1.50
46. **Wzorowy statut kółek łowieckich.** zł. 0.25
47. **Z przeżyć i wrażeń myśliwskich**—Stefana Krzywoszewskiego (bez rabatu) . . . zł. 9.—
48. **Żubr.** Historja, obycz. i przyszłość — J. Sztolcmana zł. 3.30
49. **Żywienie jeleni i sarn** d-ra Maxa Neumeistera zł. 1.20

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) dolicza się zł. 1.—
Za zaliczeniem pocztowem — najmniejsza dopłata zł. 1.50

Bażantyna—karma dla młodych bażantów. Liczne zaświadczenia z kilkuletnich prób najpoważniejszych bażantarni. Zamówienia przyjmuje S. Kamocki Milanówek Grudowska 12 telef. 147.

Büchsflinta: bezkurkowa prawie nowa z piękną grawiurą i diopterem prawa lufa kula kal. 8×58 R lewa pełny czok kal. 16. Sprzedam 300.— zł. B. Kociałkowski Grabów n/Prosną Wielkopolska.

Jamniki rasowe, żółte, ur. 8 maja po zł. 35 sprzeda Zygmunt Jaźwiński maj. Borki p. Radzyń Podlaski.

Poszukuję dobrego terenu łowieckiego (dworskiego) 1000 do 2000 ha. Warunki konieczne: odległość od Łodzi do 120 klm. z wzorowym dojazdem samochodowym; przypuszczalny rozkład na dwudniowem polowaniu nie mniejszy jak 300 sztuk zajęcy i bażantów. Pierwszeństwo dla terenów leśno-polnych z urozmaiconym zwierzostanem. Łaskawe oferty do Redakcji Łowca Polskiego dla L. B. S.

Poszukuję polowania stałego na kaczki w okolicach powiatu koneckiego, lub w sezonie jedno-dwudniowego polowania w dalszych okolicach. Oferty dla Nr. 1071 „Łowiec Polski"

Przyjmę wyżła do tresury, układam konkursowo. Roman Łuczak leśniczy majętność Grabów n/Prosną Wielkopolska.



MUZEUM MYŚLIWSKIE

i PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW i ZWIERZĄT,

oprawy rogów i kłów, **wyprawy** skór z włosiem i na zamsz, **robienia** dywanów i kołnierzy zwierzęcych

STEFANA GREULICHA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 61. Telefon 5-37-84.





EGZ. OD 1861 R.

SKŁAD I FABRYKA BRONI

J. SOSNOWSKI w Warszawie

sp. z o. o.

Krakowskie Przedmieście 7, Tel. 647-47

WYJĄTKOWA OKAZJA!!!

Chlubnie znane od kilkudziesięciu lat COCKERILL'ki bezkurkowe, M. L. z koroną, systemu Anson Deeley, cal. 12,16, 20 od Zł. 200.–
takież same z eżektorami od Zł. 300.–

WIKTOR ŁASTOWSKI



PRACOWNIA
WYPYCHANIA
ZWIERZĄT I PTAKÓW
oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86-78.
Wprost kośc. Ś-go Krzyża

FABRYKA BIAŁOSKÓRNICZA

FELIKS LANGE

WARSZAWA, UL. GĘSTA 18

Produkuje: skóry na kurtki i rękawiczki

a) naturalne zamsze we wszystkich kolorach z własnych i powierzonych skór sarn, jeleni oraz łosi,
b) imitacje zamszu „chaire", glacé, nappa i t. d.
c) wyprawa z futrem.

Kupno skór surowych.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

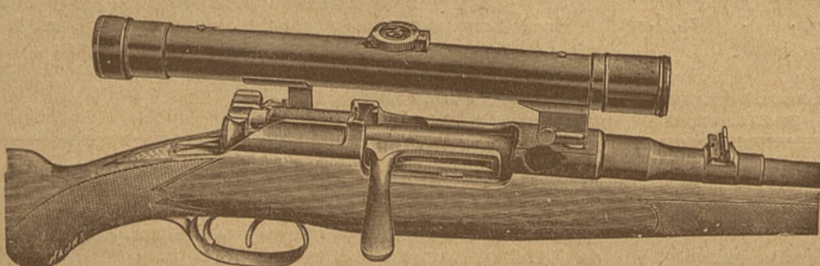
Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

Dalszy ciąg drobnych ogłoszeń ze str. 379.

Kupię szestnastkę „Sauer" przykładną, w dobrym stanie. Oferty „R W" — „Łowiec Polski".

Wyżła szorstkowłosego niemca b. dobrego, maści bronzowej, w drugiem polu, oraz szczeniaki szorstkowłose $^2/_3$ po bardzo dobrych rodzicach, 8-mio tygodniowe, sprzeda Paweł Hajda, leśniczy państw. Państw. Leśnictwo Miłaszka, p-ta Grabów n/Prosną, pow. Ostrów Wielkop.

PAMIĘTAJ O SOLI DLA ZWIERZYNY



NA KOZŁY

polecamy
bezkonkurencyjnie sztucery magazynowe
Mannlicher-Schönauer'a
z lunetami lub bez.

SPRZEDAŻ W CENTRALI WARSZAWSKIEJ SPÓŁKI MYŚLIWSKIEJ w Warszawie, ul. Królewska 17
lub w oddziałach w Poznaniu, Lwowie, Wilnie i w Katowicach
Br. Pierackiego 12, Wileńska 10, Młyńska 2, Pl. Marjacki 4.